№ 37 Warszawa, dnia 29 Sierpnia (10 Września) roku 1881.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu zlr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 c 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu zlr. 2 c. 75 na prowincyi zlr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

Od Redakcyi.

W kwartale czwartym r. b. pismo Tygodnik Mód wychodzić będzie pod temi co dotąd warunkami. Przypominamy, że prenumeratę najlepiej jest uskuteczniać *bez żadnego pośrednictwa* w samej Redakcyi, bo tylko tym jedynie sposobem regularne odbieranie numerów może mieć miejsce.

Cena prenumeraty pozostaje ta sama, a mianowicie:

NA TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

w Warszawie **kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . rs. 2 kop. 50
Półrocznie . . . rs. 5
Rocznie . . . . rs. 10

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **kwartalnie — k. 75.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . . . . rs. 1.
Półrocznie . . . . . . rs. 2.
Rocznie . . . . rs. 4.

NOWE WYPISY.

Rok bieżący dał nam sporą liczbę podręczników, do nauk wykładanych po zakładach naukowych, a pomiędzy niemi obejmują wypisy polskie poważne miejsce.

Nauka języka polskiego, jest jedną z najbardziej ważnych i zasługujących na szczególną uwagę społeczeństwa, a więc i naszych pań, które bardzo często jako matki są pierwszemi nauczycielkami swych dzieci,—one pierwsze oprowadzają je po labiryncie i hieroglifach początkowej nauki, a również przeważnie kobiety trudnią się udzielaniem dzieciom pierwszych początków języka.

Wprowadzić dziecko od pierwszego razu w dobrą szkołę — toć to rzecz pierwszorzędnego znaczenia, szkoły i nauki początkowe wpływają niemal na całe życie. Dobrze zrozumieli to Niemcy troszcząc się głównie i przeważnie szkołami początkowemi — wszystkie najnowsze dzieła pedagogiczne niemieckie zwracają się przeważnie na pole szkół początkowych i ludowych, upatrując w nich słusznie podstawę dalszego kształcenia i wychowania.

Kwestya języka jest dla nas jedną z najważniejszych, a systematyczna i troskliwa nauka i bączność jednym z najpierwszych obowiązków. Zrozumieli to i nasi pedagogowie poświęcając swój czas i pracę na ułożenie wypisów, któreby odpowiadały wymaganiom dzisiejszym.

Mamy przed sobą wypisy polskie pp. *A. Bądzkiewicza* (Warszawa, Gebethner i Wolff); *W. Seredyńskiego* i *A. Dzieduszyckiej* (Warszawa, Gebethner i Wolff); *S. Gargulskiego* część wstępna i średnia (Warszawa, nakład autora), wreszcie *A. Dygasińskiego* (Warszawa, Bernarda Lesmana).

Zanim przystąpimy do oceny, wpierw musimy powiedzieć jakie wymagania stawiamy wypisom i czego od nich żądamy. Wypisy powinny stopniowo wprowadzać ucznia w świat literatury, tak, by on, zanim do nauki literatury przyjdzie, już był obeznany z wybitnemi nazwiskami i stylem autorów znakomitszych, następnie w wypisach szukamy logicznego układu, któryby ucznia prowadził od rzeczy łatwiejszych i dostępnych jego umysłowi do trudniejszych i bardziej skomplikowanych; wreszcie sam język i cytowane przykłady powinny pozostawać w zgodzie z panującą i przyjętą metodą.

Zdaje się, że tu postawione wymagania, są skromne i nie przekraczają granic możności, a że są nieodzowne w każdych wypisach, na to zdaje się, iż każdy się zgodzi.

Rozpatrzmy się teraz w poszczególnych wypisach.

Wypisy polskie p. A. Bądzkiewicza, zasłużonego pedagoga warszawskiego, obejmują część średnią, czyli innemi słowy, mają służyć do wyższych klas aniżeli wstępna i pierwsza.

Czy wypisy te odpowiadają stawionym przez nas warunkom? Co do pierwszego spotykamy w nich ustępy bezimienne, wyjęte z „Tygodnika Illustrowanego", „Przyjaciela dzieci", „Księgi Świata", „Magazynu Powszechnego" i innych pism, następnie artykuły zaznaczone tylko literami, dalej bezimienne, wreszcie tłomaczone. Przeważna większość prozy składa się z podobnych artykułów a niebrak ich jest i w poezyi nawet.

Co do logicznego układu, jest stanowcza przewaga historyi z ujmą innych działów i to historyi, którą muszą rozjaśniać przypiski autora, bo bez tych nie zrozumie uczeń cytowanych nazwisk i słów.

Kwestyą językową rozważymy przy wypisach p. Dygasińskiego. Sądzimy przeto, że wypisy pa-

na Bądzkiewicza niezupełnie odpowiadają potrzebom i warunkom, koniecznym przy podobnych dziełach.

Dr. Seredyński znanym jest z swych prac pedagogicznych, jak również p. A. Dzieduszycka, która zyskała uznanie wybornem tłomaczeniem pomniejszych rozprawek z nauk przyrodniczych. Wypisy ułożone przez tę spółkę, są przeznaczone dla pensyonatów żeńskich i mają być zastosowane do wszystkich klas, obejmują bowiem począwszy od powiastek pomniejszych do dramatu greckiego. Nie przeczymy bynajmniej, że sam wybór ustępów jest zrobiony starannie i ze zrozumieniem rzeczy, jednakowoż już w drugiej części B. spotykamy trudne i zawiłe opisy, jak np. Groby na Wawelu p. Ziemięckiego, lub też Ruiny Lednickie p. Łuszczkiewicza, które z pożytkiem można czytać chyba w klasach najwyższych.

Rozkład szwankuje w wielu miejscach, nie należy bowiem zapominać, że w Galicyi, nauczyciele po odbytem seminaryum nabrali systemu i wprawy w nauczaniu języka, zaś u nas nauczyciele są po większej części samoukami: jasny i logiczny podział w wypisach ułatwia im znakomicie ich zadanie. Przewaga opowieści razi w układzie tych wypisów; po pięciu obszernych działach spotykamy tylko 56 stronnic dotyczących nauk przyrodniczych, czy nie za mało przy rozbudzonym i koniecznym ruchu w naukach przyrodniczych i przy zastosowaniu metody poglądowej w naszych szkołach?

Bądź co bądź jednak, wypisy te posiadają wartość stylistyczną, jednakowoż naszem zdaniem nie kwalifikują się do niższych klas, dopiero w trzeciej wyjątkowo, a właściwie w czwartej klasie mogą być użyte.

P. St. Gargulski należy zdaje się do tych pedagogów, którzy pragnęliby kształcić swych uczniów w taki sam sposób, jak jego uczono — takie przynajmniej wrażenie robi na nas wydana przez niego „Tablica konjugacyi łacińskich" *kolorowana*, bowiem na Zachodzie ludzie dawno zapomnieli o mnemonicznym systemie w nauce języka. Ale to bynajmniej nie przeszkadza wartości wypisów pana Gargulskiego; rozpatrzmy się tedy bliżej. Wybór autorów, zwłaszcza w części drugiej, nie możemy nazwać szczęśliwym; spotykamy tam całe rozdziały bezimienne (np. Zwyczaje), mnóstwo artykułów pomniejszych nieznanych pisarzy i dość znaczną liczbę tłomaczeń.

W układzie autor widocznie nie zdał sobie jasno sprawy, co do jakiego działu należy, i tak rozdział drugi zawiera: „nauki i obrazy moralne", a rozdział trzeci: „opowieści i powiastki moralne", w czem polega różnica? W rozdziale VI p. t. Opowiadania z życia społecznego, umieścił autor: ziemniaki (?!). W rozdziale IX, opisanie miejsc, spotykamy: firmament (?). Toż samo powtarza się w części średniej.

Przystępujemy wreszcie do wypisów p. A. Dygasińskiego, których wyszła część niższa. P. Dygasiński należy do znanych i bardzo czynnych pedagogów, a w ostatnich czasach zyskał głośne nazwisko przez wprowadzenie metody poglądowej do tutejszych szkół. Będąc sam praktycznym pedagogiem, ułożył pan Dygasiński wypisy odpowiednio do najnowszych wymagań pedagogii; już sam jasny i zrozumiały podział zastosowany do potrzeb klas niższych, zaleca te wypisy: najpierw podzielił prozę na: 1) nauki przyrodnicze i ziemioznawstwo, 2) moralność i obyczaje, 3) historya i biblia, zaś poezyą na nauczającą, opisującą i pieśni. Niemal każdy ustęp jest pióra znanych pisarzy na polu literatury i pedagogii, a wybór przynosi prawdziwy zaszczyt p. Dygasińskiemu, ktory niemal pierwszy zwrócił baczną uwagę na wyborne opisy z nauk przyrodniczych p. M. Nowickiego z Krakowa.

Wiadomo jakie trudności dla nauczycieli i dla uczniów, a nawet w prasie nasuwa pisownia; nawoływania do jej ujednostajnienia powtarzają się po dziennikach i pismach na różne tony i głosy.

Aby kwestyą tę chociażby częściowo załatwić, wezwał redaktor „Biblioteki Warszawskiej" prof. Plebański, przy końcu zeszłego roku szkolnego, wybitniejszych pracowników na polu języka polskiego, przeważnie nauczycieli, by postawić jakąś stałą normę, według której uczyć należy.

Zgodzono się na pięć głównych zasad.

1) Tryb bezokoliczny ma się kończyć na c, gdy dotychczas np. pisano strzedz zamiast strzec.

2) Zniesiono różnicę w rodzaju męzkim i nijakim przymiotników i zaimków w szóstym i siódmym przypadku liczby pojedyńczej. Wprowadzili tę różnicę Kopczyński i Szylarski zupełnie samowolnie. Usunięto również różnicę rodzajów w zakończeniu przymiotników i zaimków w liczbie mnogiej, więc należy pisać: *tymi dobrymi* dziećmi zamiast dotychczasowej pisowni: temi dobremi dziećmi.

3) Imiesłowy zaprzeszłe należy pisać bez *ł*, np. szedszy, mogszy — dotychczas tworzono te imiesłowy z czasu przeszłego zamiast z tematu.

4) Zaimki zakończone w 1-m przypadku liczby pojedyńczej na spółgłoskę np. ten, ów, nasz, wasz etc., mają w czwartym przypadku rodzaju żeńskiego ę, zaś zaimki zakończone na samogłoski np. który, powinne mieć zakończenia na *ą*.

5) Ujednostajniono pisownię słów na ija — ya, np. Maryi, w drugim przypadku Maryi, przyjmując to końcowe *i*, jako jotowane, a nie jak dotychczas Maryja—Maryji.

Pisownię tę wprowadził pan Dygasiński do swych wypisów, zastępując dotychczasową dowolność pewną stałą, przyjętą zasadą.

Jest to pierwsza książka tak pisana, jak się zgodzili warszawscy pedagogowie.

Wracając do wypisów p. Dygasińskiego, uznajemy je za najlepsze i najodpowiedniejsze do nauki języka polskiego w klasach niższych, aczkolwiek i one mają usterki np. opuszczenie klechd, za szczupłe opowiadania z biblii i wadliwa w kilku miejscach korekta np. w spisie *historyja*, gdy w tekście i z zasady powinno być *historya;* te usterki jednak mogą być z łatwością usunięte przy następnem wydaniu.

A. G.

DUMKA.

Przyszła noc.... pochmurno... ciemno, —
Ej! — i czegoś łzawo, —
Jakieś widmo drży nade mną, —
Wyje pies pod ławą...
Noc... a ja w okienku stoję, —
Główka w bok się chyli, —
Gwiazdki moje, — piękne moje —
Gdzieżeście się skryły?...

Przyszła gwiazdka... szczęścia wróżka, —
Smutku nie rozwiała, —
Nie chce mi się iść do łóżka...
Noc-bym w oknie stała...

Coraz smutniej... już się kręci
W oku mała łezka, —
Dziś-to nawet mnie nie nęci
Sukienka niebieska...
Dziś-to tylko tęsknię, roję, —
Liczko ogniem pała, —
Eh! — bo jasne słonko moje
Odnaleźćbym chciała...

Już nie chce się jednej w okół
Wytężać źrenice, —
Pora... niechaj przyjdzie sokół —
Po swą sokolicę...

Gwiazdka patrzy, a noc słucha, —
Żal jej snadź mnie szczery, —
Bo z wiatrami szle do ucha,
Ukojenia szmery...

Józef Korwin.

PRUSACY W FRANKFURCIE.

Przez

ALEKSANDRA DUMASA.

Przekład

J. B.

TOM II.

(Dalszy ciąg.)

Łódź dobrze kierowana przez cztery silne i biegłe ramiona, szybko, jak jaskółka mknęła po wód powierzchni. Karol był ciągle zemdlony. Doktor obawiał się aby powietrze chłodniejsze nieco na wodzie niż na lądzie, nie otrzeźwiło rannego; ale dotąd obawa była płonną, Karol leżał ciągle nieruchomy, nie dając znaku życia.

Przybyli nareszcie do Dettingen. Benedykt wynagrodził hojnie żołnierzy pruskich i prosił chirurga, aby zawiadomił barona von Below o wszystkich szczegółach odnoszących się do Karola. Helena nie mogła przemówić i tylko rękę podała chirurgowi na podziękowanie.

Benedykt obudził śpiącego na koźle Lenhardta i kazał mu jak najśpiesznej pędzić do Frankfurtu i zająć się tem, aby ludzie z lektyką czekali tam nad brzegiem Menu. On z Heleną mieli dalej odbyć drogę wodą, gdyż był to najbezpieczniejszy sposób przewiezienia rannego.

Około Hanau niebo zaczęło się rozjaśniać; po nad górami bawarskiemi roztoczyły się srebrzyste nieco zaróżowione obłoki. Lekki powiew zdający się być oddechem jutrzenki, odświeżył rośliny i serca znużone ciężkiem powietrzem burzliwej nocy. Zanim ukazało się słońce, pierwsze jego promienie rozpierzchły się we wszystkich kierunkach; nareszcie świetlana jego kula wyłoniła się z po za chmury, — przyroda zbudziła się do życia.

Zdawało się Helenie, że lekki dreszcz przebiega ciało rannego; na krzyk który wydarł się z jej piersi, Benedykt i przewoźnik odwrócili się prędko.

Nie poruszając się, Korol otworzył oczy i zamknął je napowrót wyszeptawszy imię Heleny. Odbyło się to tak nagle, iż gdyby Benedykt i przewoźnik nie widzieli także, Helena byłaby myślała, że było to tylko złudzenie jej wyobraźni.

To otwarcie oczu, to wyszeptanie imienia, nie zdawało się zwiastować powrotu do życia ale ostatnie marzenie umierającego.

Wschodzące słońce sprawia niekiedy podobne skutki na umierających. Przyroda zniewala ich

do ostatniego wysilenia, powieki ich pozdrawiają słońce zanim się zamkną nazawsze.

Przyszło to na myśl Helenie.

— O Boże mój! zawołała zanosząc się od płaczu, czyżby to ostatnie jego uleciało tchnienie?

Benedykt rzucił na chwilę wiosło i zbliżył się do Karola. Wziął go za rękę, pulsu czuć nie było; zaczął słuchać bicia serca — milczało; badał arterye, zdało mu się że krew w nich nie krąży.

Za każdą próbą Helena szeptała:

— O Boże mój! Boże!...

Po ostatniej próbie i Benedykt zwątpił o życiu Karola. Wyjął z kieszeni futeralik z niektóremi narzędziami doktorskiemi, który zawsze nosił przy sobie, wziął z niego lancet, i ponawiając doświadczenie doktora, ukłuł nim lekko rannego. Nic nie uczuł i nie drgnął nawet, ale kropelka krwi pojawiła się na miejscu ukłucia.

— Bogu dzięki! zawołał, żyje jeszcze.

Powrócił do wiosłowania, a Helena zaczęła się modlić.

Po raz pierwszy teraz zdolna była całą odmówić modlitwę, dotąd tylko krzykiem boleści lub nadziei przemawiała do Boga.

Ani Benedykt ani Helena nic nie jedli od wczoraj; Fryderyk miał w łodzi chleb i piwo, podał je Benedyktowi. Helena nic w usta wziąć nie chciała.

Dopłynęli do Offenbach; z daleka rysowały się już mury Frankfurtu; o ósmej łódź wpłynęła do portu; tu czekał Lenhardt i ludzie z lektyką. Przeniesiono rannego jak najostrożniej i ułożywszy w lektyce zasunięto firanki. Benedykt chciał aby Helena, której suknia krwią była zbroczona, wsiadła do pojazdu; nie zgodziła się na to i owinąwszy się szalem szła przy lektyce, prosząc Benedykta, aby nie tracąc czasu pojechał po doktora Boodenmacker i przywiózł go zaraz.

Szła obok lektyki aż do domu babki; przechodnie spoglądali na nią z zadziwieniem i szeptali coś po cichu. Zaczęto wypytywać się Fryderyka, który szedł za lektyką; odpowiedział, że jest to narzeczona przeprowadzająca martwe zwłoki swego przyszłego, a ponieważ powszechnie było wiadomem, że panna de Chandroz była zaręczoną z hrabią Karolem von Freyberg, rozstępowano się przed nią pozdrawiając z uszanowaniem.

Gdy doszli do domu brama otworzyła się zanim zapukali; babka i siostra stały po obu stronach drzwi, przepuszczając lektykę po za którą weszła Helena. Nie mówiąc i słowa podała rękę babce i siostrze. Widząc straszną rozpacz wyrytą w jej twarzy, zalały się łzami i chciały jej pomódz wejść na schody. Nie potrzebowała tego; była silną to siłą nerwową co cudów dokonywać zdoła,—gdyby lektyka się nie zatrzymała, nie wiedzieć wiele mil szłaby za nią.

— Do mego pokoju! powiedziała tylko, i poszła za ludźmi.

Zaniesiono rannego do pokoju Heleny i położono na jej łóżku. W tejże chwili prawie wszedł doktor z Benedyktem. Z pomocą Hansa rozebrali Karola z ubrania jakie jeszcze miał na sobie, i doktor obejrzał rany. Helena i Benedykt oczekiwali orzeczenia doktora z niewysłowionym niepokojem.

— Kto opatrywał rannego? zapytał doktor Bodemnacker.

— Starszy chirurg pułkowy, odpowiedziała Helena.

— Dlaczego nie podwiązał arteryi?

— Była noc i tylko pochodnie rozjaśniały otaczające nas ciemności; chirurg nie śmiał przedsiębrać tak trudnej operacyi, radząc mi udać się do bieglejszego od niego — i dlatego udaję się do pana.

Doktor niespokojnie przypatrywał się rannemu poczem szepnął jakby do siebie:

— Stracił więcej jak czwartą część krwi.

— Więc cóż, doktorze? zapytała Helena.

Doktor pokręcił głową.

— Ach! doktorze nie mów mi, że nie ma nadziei!.. słyszałam nieraz, że krew odnawia i odtwarza się bardzo prędko.

— Tak, odrzekł doktor, z warunkiem aby ten co ją utracił mógł jeść, i aby organa wytwarzające krew mogły działać. Ale w tym razie, mówił wpatrując się w rannego, który był blady jak trup, będzie to bardzo trudno... Lecz bądź co bądź, obowiązek nakazuje doktorowi próbować wszelkich środków ratunku; sprobuję więc podwiązać arteryę.

— Czy możesz mi pan dopomódz? dodał zwracając się do Benedykta.

— Najchętniej, mam pewne wyobrażenie o chirurgii.

— Chciej pani odejść, rzekł do Heleny.

— Za nic w świecie! zawołała, ani na krok od niego nie odstąpię.

— A więc zachowaj się pani jak najspokojniej i nie zbliżaj się bardzo, żebyś nam nie przeszkadzała.

— Czy mam przygotować narzędzie do ściśnienia naczynia? zapytał Benedykt.

— Nie ma potrzeby; arterya musiała się już zatrzymać, znajdę ją w rozdzielonym muskule. Trzymaj pan tylko rękę.

Benedykt ujął i odwrócił ramię rannego. Doktor wyjął z futerału odpowiednie narzędzie, przygotował szarpie i nie obmywając rany, przeciął podłużny blizko dwucalowy otwór i odsłonił arteryę. Pochwycił ją szczypczykami, owinął nitką i ścisnął. Operacyi tej dokonał z zadziwiającą zręcznością.

— Czy już skończone? zapytała Helena.

— Prawie, odrzekł doktór.

— A z jak nadzwyczajną biegłością i wprawą! zawołał Benedykt.

— Teraz możesz pan obmyć krew, tylko nie naruszając gruzołka skrzepłej na ranie, rzekł doktor.

Bardzo mało krwi poszło od przecięcia lancetem, co dowodziło wielkiego jej wyczerpania.

— Teraz, rzekł doktor, trzeba żeby woda zamrożona nieustannie kroplami spadała na rękę.

W mgnieniu oka Benedykt urządził przyrząd, z którego, za pomocą piórka woda spadała kroplami, z narzędzia zawieszonego u sufitu. Przyniesiono lodu i po upływie pięciu minut, przyrząd zaczął funkcyonować.

— Teraz zobaczymy, rzekł doktór.

— Co! zapytała Helana.

— Działanie zamrożonej wody, odpowiedział.

Wszyscy troje stanęli przy łóżku, i trudno byłoby powiedzieć kto z większem zajęciem śledził skutków doświadczenia: czy doktor, przez miłość swej sztuki a trochę i przez miłość własną; czy Helena bezgraniczną miłością kochająca rannego; czy nareszcie Benedykt wielką dlań ożywiony przyjaźnią.

Ranny drgnął widocznie gdy tylko pierwsze krople zamrożonej wody spadły na ranę zrobioną przez doktora; powoli lekkie dreszcze zaczęły przebiegać całe ciało rannego, powieki zadrgały, nareszcie oczy się otworzyły, z zadziwieniem powiódł wzrokiem dokoła i wlepił go w Helenę. Blady uśmiech zajaśniał na ustach; widać było, że sili się aby przemówić, i nareszcie słabo i cicho, jakby oddychając tylko wyszeptał imię Heleny.

— Przynajmniej do jutra niech nic nie mówi, rzekł żywo doktor.

— Nie mów nic, Karolu, rzekła Helena; jutro powiesz mi, że mnie kochasz.

XXXI.

Prusacy w Frankfurcie.

Wiadomość o przegranej pod Aschaffenburgiem głębokim smutkiem przejęła cały Frankfurt. Wnosząc z postępowania Prusaków, Frankfurtczycy obawiali się, że nie lepiej pewnie uszanują miasto będące siedliskiem sejmów, jak uszanowali królestwo Hanowerskie.

Jak powiedzieliśmy wyżej, wiadomość o przegranej bitwie tegoż samego wieczora doszła Frankfurtu. Nazajutrz, przekonanie że Prusacy niezwłocznie zajmą Frankfurt, nową żałobą pokryło miasto; w dniu tym nie było ani jednej osoby na promenadzie w *Lasku* gdzie zwykle schodziło się całe miasto. Był to 15-go a spodziewano się powszechnie że 16-go Prusacy wejdą do Frankfurtu.

Z nadejściem nocy ulice miasta opustoszały zupełnie, a jeźli ktoś pojawił się na nich po szybkim biegu poznać było można, że wyszedł dla załatwienia jakichś nader ważnych interesów, lub może odnosił do której z cudzoziemskich legacyi pieniądze, klejnoty lub papiery, nie dowierzając aby mógł bezpiecznie zatrzymać je u siebie.

Wcześnie bardzo pozamykano drzwi i okna sklepów i domów; łatwo było odgadnąć że wszyscy wogóle mieszkańcy zajmowali się skrycie obmyśleniem jakiegoś dobrego ukrycia na przechowanie sreber i kosztowności.

Rano 16-go Senat kazał rozlepić po mieście następujące ogłoszenie:

Senat do mieszkańców miasta i wsi.

„Wojska królewsko-pruskie mają wejść do Frankfurtu i jego okolic; stosunek nasz do nich będzie obecnie zupełnie inny od zachodzącego między nami gdy stali garnizonem w mieście. Senat ubolewa bardzo nad tą zmianą stosunku; ale ofiary narodowe jakieśmy już ponieśli i żal za wszystkiem cośmy utracili, mniej dadzą nam uczuć straty pieniężne, nawet porównać z niemi się nie dające. Wiadomo jest obywatelom i mieszkańcom miasta, że wojska królewsko-pruskie zalecają się wzorową karnością; Senat zaleca wszystkim mieszczanom i mieszkańcom wsi, aby nie narażając się na nowe trudności, przyjęły przyjaźnie mające wkroczyć wojska królewsko-pruskie."

Obwieszczenie nie zawiadamiało o dniu wkroczenia Prusaków do Frankfurtu, ale nie wątpiono iż nastąpi to tego zaraz wieczora, lub co najwięcej nazajutrz. Batalion pruski odebrał rozkaz, aby był każdej chwili gotów do wystąpienia z muzyką dla przyjęcia i uczczenia mających wejść Prusaków. Od dziesiątej rano wszystkie punkta wysokie, wszystkie dzwonice i wyniesione platformy z których rozchodził się rozległy widok na okolice, a szczególniej na trakt do Aschaffenburga, zapełnione były przez ciekawych.

Około południa dojrzano Prusaków wchodzących do Hanau. Tysiące ich wysiadało, nie na dworcu ale na trakcie i natychmiast zajmowali punkta strategiczne, a przedsiębrane ostrożności przekonywały, iż nie byli wolni od pewnych obaw.

Do czwartej wieczorem nic nowego nie zaszło

O czwartej dostrzegano odchodzące z Hanau pociągi, przewożące zwycięzką armię, która zbierała się pod bramami miasta od kwadrans na szóstą do siódmej. Niewątpliwie jenerał Falkenstein spodziewał się i czekał aby municypalność przybyła złożyć mu hołd poddańczy w imieniu miasta, a może nawet i ofiarować jego klucze na srebrnej tacy. Nieborak czekał daremnie — nic podobnego nie miało miejsca.

Awangardę wojsk pruskich stanowili ciż sami kirasyerzy, którzy tak dzielnie i wytrwale szarżowali podczas bitwy; w wielkich swoich płaszczach i stalowych kaskach wyglądali jak cienie.

Dnia tego każdy mógł się obawiać, że przy wieczerzy ujrzy swoją statuę Kommandora.

Skutkiem wystawienia na zachód słońca, Zeil przybiera często bardzo melancholiczną postać. Tego wieczora oprócz głębokiego smutku i ponurego milczenia przybyłych patrzéć na wejście wojsk zwycięzkich, czy rzeczywiście czy złudzeniem wyobraźni wydawał się dziwnie posępnym, szczególniej w miejscach w których niby szereg widziadeł, przesuwał się oddział pruskich kirasyerów.

Trąbki wygłaszały jakieś groźne, ponure fanfary. Zapomniano zupełnie że Prusacy są także Niemcami; postawa ich i zachowanie wyraźnie zapowiadały wrogów.

W tejże chwili rozległy się dźwięki muzyki batalionu frankfurtskiego, nadchodzącego z przeciwnej strony. Spotkawszy się z Prusakami, ustawili się szeregiem i sprezentowali broń, bębny się odezwały. Ale Prusacy zdawali się nie widziéć nawet tych oznak przyjacielskich. Nadbiegły galopem dwie armaty na lawetach; ustawiono je tak iż jedna zagrażała Zeilowi, druga Rosmarcktowi.

Czoło kolumny pruskiej uszykowało się na Zeilu i na placu Schilera. Przez jaki kwadrans kawalerzyści stali w szeregach na koniach; poczem zsiadłszy z nich stali nieruchomie jakby czekając rozkazów. Niepewność ta przerażała mieszkańców — a trwała do jedenastej wieczór. Aż nagle gdy godzina ta wybiła, objawił się ruch jakiś w szeregach, żołnierze podzielili się na gromadki po dziesięciu, piętnastu i dwudziestu, rozbiegli się po mieście, zaczęli pukać do bram i zajmować domy.

Nie wydano w mieście rozkazów co do racyi żywności i wina; wskutek czego Prusacy traktując Frankfurt jak miasto zdobyte, wybierali na kwatery najzamożniejsze, najokazalsze domy.

Batalion frankfurtski stał kwadrans prezentując broń; poczem dowódzca kazał wziąć broń do nogi; muzyka nie przestawała grać. Kazali jej przestać.

Gdy po dwugodzinnem wyczekiwaniu nie zamieniono ani jednego słowa między wojskiem pruskiem a batalionem frankfurtskim, dowódzca jego dał rozkaz powrotu do koszar z pochyloną bronią.

Był to pogrzeb wolności Frankfurtu.

Noc cała przeszła w takiej trwodze, jakby miasto szturmem zostało zdobyte. Wybijano bramy jeżli ich nie otwierano natychmiast; z domów dawały się słyszéć krzyki przerażenia, a nikt nie śmiał nawet zapytać z czyich wydzierały się piersi. Dom Hermana Mumm wydawał się najokazalszym, to też zaraz tej pierwszej nocy musiał przyjąć na nocleg dwustu żołnierzy i piętnastu oficerów.

W drugim pięknym domu, należącym do pani Lutteroth, stanęło 50 żołnierzy, bawiących się wybijaniem okien i rąbaniem mebli, pod pozorem niby, że pani Lutteroth wydawała wieczory i bale, a nie zapraszała na nie oficerów pruskich.

Podobne oskarżenia, służące za pozór do niesłychanych nadużyć i gwałtów, miały miejsce od najwyższych do najniższych sfer społecznych. Zarzucano mieszkańcom Frankfurtu, że miłowali samych tylko Austryaków i przez przywiązanie do nich nie chcieli przyjmować na kwatery oficerów pruskich. Ci oficerowie tedy mówili żołnierzom: „Wolno wam żądać co tylko zapragniecie od tych hultai Frankfurtczyków, którzy pożyczyli Austryakom bez procentu dwadzieścia pięć milionów guldenów."

Daremnie przekładano im, że jak świat światem kasa miasta nie posiadała tyle milionów, a gdyby je nawet miała, podobna pożyczka nie mogłaby mieć miejsca bez postanowienia Senatu i Ciała prawodawczego, i że najbieglejszy inkwirent nie zdoła wyśledzić istnienia podobnego dekretu. Oficerowie obstawali przy swojem twierdzeniu, a żołnierze nie potrzebując zachęty do przygotowawczego rabunku, zanim nastąpi przyobiecany im rabunek na wielką skalę, dopuszczali się najwięcej oburzających gwałtów, upoważnieni do nich nienawiścią jaką tchnęli ich zwierzchnicy dla nieszczęśliwego miasta. Od owej to nocy rozpoczął się *terroryzm Prusaków w Frankfurcie.*

Chcąc o ile można zabezpieczyć dom swojej rodziny, Fryderyk von Below, wiedząc że wydano rozkazy, aby traktować Frankfurt jak miasto nieprzyjacielskie, posłał sierżanta i czterech żołnierzy aby go strzegli, pod pozorem, że przeznaczony jest na kwaterę dla jenerała Sturma i jego głównego sztabu. Liczył na to, że obecność jenerała i jego samego, ustrzeże dom ten i jego mieszkańców od gwałtów popełnianych w innych.

Dzień zajaśniał; przez straszną tę noc mało kto zamknął oczy. Jak tylko zadniało wszyscy wybiegli z domów zasięgnąć jakichś wiadomości, ubolewając nad własnem nieszczęściem i wywiadując się jakie spotkały innych. Zobaczono służbę miejską, która powoli, ze zwieszoną głową, jak ludzie działający pod przymusem, rozlepiali następujące ogłoszenia:

„Ponieważ oddano mi najwyższą władzę nap Księztwem Nassauskiem, miastem Frankfurtem i okolicami, oraz nad częścią Bawaryi zajętą przez wojska pruskie i nad Wielkiem Księztwem Heskiem, zatem, aż do nowego rozkazu urzędnicy i pełniący jakiekolwiek obowiązki, ode mnie jednego tylko rozkazy odbierać i wykonywać je mają. Rozkazy moje dam im poznać dokładnie i wyraźnie.

Główna kwatera w Frankfurcie, 16 lipca 1866 roku.

Naczelny wódz armii Menu,
Falkenstein."

(D. c. n.)

ŚWIAT NUDÓW.

Komedya w 3-ch aktach

p. EDWARDA PAILLERON.

Przekład

E. Lubowskiego.

AKT II.

(Dalszy ciąg.)

Służący (anonsując). Pani baronowa de Boines

Baronowa. Kochana hrabino, czy przynajmniej na czas przychodzę?

Pani de Céran. Jeżeli dla nauki, to już zapóźno, jeżeli dla poezyi — zawcześnie. Czekam jeszcze na swego poetę.

Baronowa. Na kogo?

Pani de Céran. Nieznanego.

Baronowa. Młody?

Pani de Céran. Nie wiem, ale jestem tego pewną... jest to jego pierwszy utwór. Gajac mnie go przyprowadzi — wszak wiesz Gajac z „Konserwatysty". Powinni tu byli być o godzinie dziewiątej i nie rozumiem nawet...

Baronowa. Skorzystam z przypadku, lubo nie przybyłam ani dla uczonego, ani dla poety, lub dla niego moja droga, dla Bellaca, — wyobraź sobie, że ja go wcale nie znam. Jak ci wiadomo, księżna Okolicz zeszalała się w nim. Gdzież on? Pokażże mi go droga hrabino.

Pani de Céran. Szukam go właśnie i... (Widząc wchodzącego Bellaca z Zuzanną.) Otóż i on!

Baronowa. Ten co teraz wchodzi z panną de Villiers?

Pani de Céran (zdziwiona). Tak.

Baronowa. Ach jak on jest dobrze! I tak mu pozwalacie spacerować z tą małą?

Pani de Céran (na str. patrzac na Bellaca i Zuzannę). Rzecz szczególna!...

Melchior. A mogęż Rogierowi uścisnąć dłoń?

Pani de Céran. Wątpię czy w tej chwili, gdyż pewnie siedzi teraz przy pracy.

(Wchodzą Księżna i Roger.)

Pani de Céran (na str. widząc ich). Co? z księżną?... Lecz cóż się tam dzieje?

Roger (do księżnej, bardzo wzruszony). Teraz słyszałaś już cióciu?

Księżna. Ale nie widziałam.

Roger. Tym razem przyznasz, że był to pocałunek.

Księżna. I dotego serdeczny. Lecz ktoby się tak całował tutaj.

Roger. Kto, kto?

Księżna (Widząc zbliżającą się panią de Céran). Matka się zbliża.

Pani de Céran. A twoja praca Rogerze?

Roger. Nie mogę...

Pani de Céran. A twoje tumuli?

Roger. Mam czas, zasiądę w nocy... a potem dzień wcześniej, dzień później.

Pani de Céran. Co też mówisz? Minister czeka moje dziecko.

Roger. To poczeka (oddala się.)

Pani de Céran (osłupiała). Księżno, co to wszystko znaczy?

Księżna. Powiedz-no mi, wszak nam mają czytać dziś w wieczór jakąś tragedyą, czy coś tam, nie wiem!

Pani de Céran. Tak.

Księżna. W tamtym salonie twoje czytanie, prawda? Oczyść-że mi ten salon, bo będę go potrzebować, a czem wcześniej, tem lepiej.

Pani de Céran. Ale na co?

Księżna. Powiem ci podczas tragedyi.

Służący (anonsując). Pan de Gajac, pan de Millets!

Księżna. Akurat twój poeta!

(Szmer między damami.) Poeta, to ten poeta, młody poeta, gdzie, gdzie?

Gajac. Tysiąc przeproszeń hrabino, ale dziennik mnie zatrzymał. (Po cichu.) Przygotowałem sprawozdanie pani wieczorne. (Głośno.) Pan des Millets mój przyjaciel, poeta tragiczny, którego talent będziecie państwo mieli sposobność zaraz ocenić.

Des Millets. Mam zaszczyt, pani hrabino...

Księżna. To ten ma być młodym poetą? Rzeczywiście świeżuteńki.

Pani Arriego. Szkaradny!

Baronowa. Cały siwy!

Pani de Saint-Réault. Łysy!

Pani de Loudan. Nie może mieć talentu, za brzydki na to.

Pani de Céran. Jesteśmy bardzo szczęśliwi, ja i moi goście z tej łaskawości, której chcesz nam pan dać dowody.

Pani de Loudan. Dziewiczość, powodzenia panie poeto! Jakąż za to czujemy wdzięczność!

Des Millets (zmieszany). Pani!...

Pani de Céran. Więc jest to pierwszy pański utwór?

Des Millets. O! napisałem już kilka poematów.

Gajac. Uwieńczonych przez Akademią pani hrabino... Laureat!

Joanna. Laureat!

Paweł. Medioeritas!

Pani de Céran. I po raz pierwszy puszczasz się pan na deski sceniczne? Wreszcie, dojrzałość, wiek świadczy o dojrzałości talentu.

Des Millets. Niestety, pani hrabino — sztuka moja już jest gotową od piętnastu lat.

Damy. Piętnaście lat! Czyż podobna!

Gajac. Bo des Millets ma wiarę, a wszak tych, którzy mają wiarę, podtrzymywać trzeba, nieprawdaż, łaskawe panie?

Pani de Loudan. Ma słuszność... trzeba zachęcać... tego rodzaju, — z pewnością. Tragedya przecie, to panie jenerale prawda? tragedya...

Jenerał. Co, tragedya? A — tak... tragedya! Horacyusz Cyanna. Potrzeba... z pewnością potrzeba tragedyi dla ludu... A można wiedzieć tytuł?

Des Millets. „Filip August”!

Jenerał. Bardzo trudny przedmiot! — przedmiot wojskowy!... I zapewne wierszem?

Des Millets. Jenerale, jakżeby inaczej!... Tragedya!

Jenerał. I pewnie w kilku aktach?

Des Millets. W pięciu.

Jenerał (bardzo głośno). Ho, ho, (ciszej) tem lepiej, tem lepiej.

Joanna (po cichu do Pawła). Pięć aktów, jakież szczęście!... będziemy mieli sposobność...

Pani de Loudan. Praca wielkiego zamachu!

Pani de Saint-Réault. Wielkie wysilenie!

Pani Arriego. Potrzeba to zachęcać...

(Słychać Zuzannę śmiejącą się.)

Pani de Céran. Zuzanno!

Księżna (do pani de Céran). Idź, idź zabierz ze sobą ten gatunek Euripidesa i jego Kornaka i wszystkie te figury.

Pani de Céran. Zatem proszę pań i panów przejść do bocznego salonu, tam będziemy słuchać. Czy pan już gotów?

Des Millets. Na rozkazy pani hrabiny.

Paweł. Miejsca dla młodych!

Pani de Céran. Chodźmy więc.

Pani de Loudan. Lecz pozwól nam przedtem hrabino, błagam cię o to, urzeczywistnić umówiony nasz spisek. (Głośno.) Panie Bellac!

Bellac. Margrabino!

Pani de Loudan. Błagamy pana o jedną łaskę.

Bellac (z wdziękiem). Łaska, której panie ode mnie wymagacie, nie wyrówna nigdy tej, jaką mi czynicie, żądając jej ode mnie.

Wszystkie damy. Oh! ślicznie!

Pani de Loudan. Ten utwór poetyczny zajmie zapewnie cały wieczór, będzie on jego ostatnim świetnym odblyskiem. Lecz przedtem powiedz, nam pan co — tyle ile ci się podoba. Geniusz nie mierzy się na łokcie... Ale coś... coskolwiek... Mów pan! Pańskie słowa zbierzemy jak mannę biblijną.

Zuzanna. Mów, mów panie, Bellac.

Pani Arriego. Bądź wspaniały!

Baronowa. U stóp twoich klęczymy!

Bellac. Panie, panie szlachetne...

Pani de Loudan. Pomóż nam Łucyo, ty jego Muzo. Proś go! żądaj.

Łucya. Z pewnością, że poproszę.

Zuzanna. A ja chcę.

Szmery. Ho! ho!

Pani de Céran. Zuzanno!

Bellac. Z chwilą, w której zaczyna się gwałt...

Pani de Loudan. Ah! on zezwala! Przysunąć fotel!

Pani Arriego. Stół?

Pani de Loudan. Czy chcesz pan, ażebyśmy się usunęły w głąb'?

Pani de Céran. Ustąpcie panie trochę!

Bellac. Błagam pań, nic takiego coby przypominało...

Virot (do jenerała). Ostrożnie, jenerale, prawo to za sobą ma popularność.

Wszyscy. Ciszej!

Bellac. Błagam pań, nic takiego coby zapowiadało...

Virot. No dobrze, ale... wybory...

Jenerał. Mnie usunąć nie można.

Damy. Ciszej, ciszej, panie jenerale!

Bellac. Nie coby wyglądało na odczyt, colloquium, pedanteryą. Błagam pań trzymajmy się prostej pogawędki, poprostu zadawajcie mi panie pytania.

Pani de Loudan. Panie Bellac coś z twojego dzieła.

Pani Arriego. Tak z jego dzieła.

Baronowa. Tak, z pańskiego dzieła.

Zuzanna. Ja pana proszę, panie Bellac.

Bellac. Są to prośby, którym się oprzeć nikt nie zdoła. A jednak przebaczcie, że się oprę. Zanim książka należeć będzie do całego świata... nie może należeć do nikogo.

Pani de Loudan. Nawet nie do jednej osoby.

Bellac. Ach, margrabino, powiem pani jak rzekł niegdyś Tontenelle do pani Coulanges: „Strzeż się, bo może w tem tkwi tajemnica.”

Wszystkie panie. Ach! cudownie, cudownie!

Baronowa (do pani de Loudan). Ma bardzo wiele dowcipu!

Pani de Loudan. Ma więcej aniżeli dowcip.

Baronowa. Cóż takiego?

Pani de Loudan. Nie jest to ani miejsce ani czas, przyznacie panie, do zgłębiania kilku z tych wiecznych zagadek, w których się lubują dusze wzniosłe, takie jak wasze, dusze zgnębione nieustannie tajemniczemi zagadnieniami życia i zagrobia!

Damy. Ach! moja droga: „zagrobie” uważasz „zagrobie”.

Bellac. Atoli to sobie zastrzegłszy, jestem na pań usługi. I ot właśnie przychodzi mi na myśl jedna z tych kwestyj wiecznie poruszanych a nigdy nie rozwiązanych, co do których będę pań prosił o pozwolenie zdefiniowania w dwóch słowach.

Damy. Słuchamy, słuchamy.

Bellac. Będę więc mówił mając cel trojaki: najpierw być paniom posłusznym, (patrząc na panią de Loudan,) sprowadzić na dobrą drogę przyjaciółkę zbłąkaną...

Szmer dam. Panią de Loudan.

Baronowa (po cichu do pani de Loudan, która spuszcza oczy wstydliwie). O pani mówi.

Bellac (patrząc na Łucyę). I zwalczać przeciwniczkę arcyniebezpieczną w każdym względzie.

Szmer dam. Tu Łucya! Łucya!

Bellac. Chodzi tu o miłość!...

Damy. Ach! Ach!

Księżna (na stronie). Dla odmiany.

Zuzanna. Brawo! (Lekkie szemranie.)

Joanna (do Pawła). Ta panienka idzie śmiało!

Bellac. Miłość... czyli słabość, która jest siłą... uczucie które jest wiarą, jedyną może niemającą ateuszów!

Damy. Prześlicznie!

Pani de Loudan. Baronowo, patrz — oto jego skrzydła.

Bellac. Dziś rano przyszło mi mówić u księżnej z powodu literatury niemieckiej, o pewnej fotografii, która instynkt czyni podstawą i zasadą wszystkich naszych czynów i wszystkich naszych myśli.

Damy (protestując). Nie, nie!

Bellac. Otóż korzystam ze sposobności, ażeby oświadczyć głośno, że to zdanie nie jest mojem i że go odpycham precz z całą energią duszy, dumnej z tego, że jest duszą!...

Damy. To co innego!

Baronowa (pocichu do pani de Loudan). Jaką ma ładną rękę!

Bellac. Nie, moje panie, nigdy. Miłość nie jest, jak twierdzi filozof niemiecki, namiętnością czysto specyficzną, złudzeniem przyzwoitem, którem natura olśniewa człowieka, ażeby dojść do swoich celów, nie, po tysiąckroć nie, jeżeli prawda że mamy duszę.

Damy: Mamy, mamy!

Zuzanna. Brawo!

Księżna (po cichu do Rogera). Ona stanowczo udaje zachwyconą.

Bellac. Pozostawmy sofistom i naturom gnuśnym tego rodzaju teorye plamiące serca, nawet o nich nie dyskutujmy, odpowiadając na nie milczeniem, tym językiem zapomnienia!

Damy. Ślicznie!

Bellac. Niechaj mnie Bóg broni, ażebym miał zaprzeczać wpływu potężnego urody na chwiejną wolę mężczyzn. (Patrząc naokoło.) Widzę jej przed sobą zawiele iżbym w tej wierze nie miał być pobity zwycięzko.

Damy. Ach!

Roger (do księżnej). Spojrzał na nią.

Księżna. Tak.

Bellac. Atoli po nad tą urodą przemijającej natury unosi się inna, niepodległa czasowi, niewidzialna oczom, a którą czystą tylko, duch ogląda i kocha niemateryalną miłością. Tą miłością moje panie jest miłość, czyli złączenie dwóch dusz i ich polot zdala od ziemskiego błota... w niebieskiej nieskończoności ideału.

Damy. Brawo, brawo!

Księżna. To mi galimatias!

Bellac (patrząc na nią). Ta miłość wyszydzana przez jednych, zaprzeczana przez drugich, nieznana dla wielkiej liczby ludzi, do których i ja, uderzając się w piersi, mógłbym się zaliczyć, — istnieje jednak w duszach wybranych, powiedział Proudhon...

Kilka głosów (protestując). Tylko nie Proudhon...

Pani de Loudan. Profesorze!

Bellac. Pisarz, którego przytaczając, czuję się

sam zdziwiony i uniewinniam zarazem... w duszach wybranych miłość nie ma organów.

Damy. Ach! pięknie, subtelnie!

Księżna. To mi dopiero głupstwo!

(D. c. n.)

Wystawa starożytności i dzieł sztuki

w zastosowaniu do przemysłu.

(Dokończenie.)

W salonie środkowym znajdowały się dwie szafki z okazami wykonanemi z kości, wysokiej artystycznej wartości. Do takich zaliczamy grupę przedstawiającą walkę gladiatorów i trzy figurki przedstawiające: jedna starą kobietę, druga żebraczkę, trzecia płaczącego chłopczyka. Dwie figurki chińskie z kości słoniowej, nader misternie rzeźbione, wyrób bardzo dawny. Wypukłorzeźba z kości słoniowej; Matka Boska z Dzieciątkiem Jezus i Ś. Janem, wyrób włoski. Wartością pamiątek historycznych zalecały się: berło z kości słoniowej z epoki Zygmunta Augusta z portretem królewskim, z XVI. Berło z jednej sztuki zęba narwala, Franciszka Delfina Francyi i Maryi Stuart, z początku XVI w. z datą 1558 r. Bogato rzeźbione berło z kości słoniowej, z płaskorzeźbą wyobrażającą Augusta II-go; na tarczach herby saskie i polskie. Berło z zęba narwala, pamiątkowe czterech książęcych rodzin polskich. Lubomirskich, Jabłonowskich, Wiśniowieckich i Radziwiłłów, rzeźbione w ornamenta i herby tychże rodzin, roboty polskiej, z drugiej połowy z. w. Róg z kości słoniowej z wizerunkiem Henryka Walezyusza, z herbami: Polski i Francyi. Róg myśliwski z kości słoniowej, z wizerunkiem Sobieskiego rzeźbiony wypukło, z herbami Królestwa. Prochownica z kości słoniowej, rzeźbiona wypukło, z portretem Sobieskiego i z herbami. Kordelas myśliwski, oprawa z kości słoniowej, rzeźbiony, z portretami królów polskich, wyrób z. w. Nakoniec Puszka z kości słoniowej z płaskorzeźbą przedstawiającą bitwę, z napisem. Joannes III D. G. R. Pol.) u spodu wizerunek króla i herb Janina; wewnątrz srebrny medalion z herbem Gdańska, a z przeciwnej strony scena zawarcia pokoju.

Dział przemysłu najbliżej spowinowaconego ze sztuką przedstawiły malarnie hrabiny Łubieńskiej i p. Borzelewskiego. Hr. Łub. prządstawiła dwa wielkie okna kościelne malowane na szkle, portrety na porcelanie i różne naczynia stołowe. Działalność tego zakładu jest bardzo pożyteczna, gdyż kształci i rozwija w kraju pracę kobiecą, w bardzo odpowiedniej sferze działania. Talerze z krajobrazami, damski stolik do robót z girlandą róż, oraz ozdobny ekranik do okna, przemawiają na korzyść zakładu, dając zarazem miarę jego działalności. Pragnęlibyśmy tylko żeby mniej niewolniczo trzymano się wzorów zagranicznych, często za bogatych w ozdoby, niekoniecznie zgadzające się ze smakiem estetycznym, co zarazem dozwoliłoby obniżyć cenę, a tem samem więcej rozpowszechniać wyroby zakładu. Hr. Łubieńskiej należy się zasługa wskrzeszenia u nas malowania na szkle, tak kwitnącego w dawnej Polsce, szczególniej w Krakowie. Okna przedstawione na wystawie nie są pozbawione zalet właściwych temu rodzajowi sztuki.

I malarnia p. Borzelewskiego przedstawiła okazy malowania na szkle i porcelanie, dowodzące technicznego wykształcenia i artystycznego smaku. Między okazami malowanych talerzy, wiele zalecało się poprawnością rysunku i delikatnością pendzla.

W pokoju, w którym przedstawione były pasy i porcelana polska, stała na środku czarna szafeczka, mieszcząca w sobie piękną kolekcyą miniatur malowanych na kości, pargaminie i blaszе, a będących własnością p. L. Wrotnowskiego. Zbiór ten składa się ze 150 sztuk. Jako płody sztuki polskiej, głównie zajęły nas miniatury Marszałkiewicza, nieustępujące utworom mistrzów francuzkich pod względem smaku i delikatności wykończenia. Z pomiędzy licznie przedstawionych prac tego artysty, wartość pamiątkową posiadają portrety: Felińskiego, autora Barbary Radziwiłłowny; Stanisława Augusta, ks. Józefa Poniatowskiego, Tadeusza Czackiego, Stanisława Małachowskiego, Augusta II, Niemcewicza i kilku jeszcze mniej wybitnych osobistości. Do najcenniejszych okazów tego zbioru zaliczają miniaturę włoską przedstawiającą Madonnę Syxtyńską, według obrazu Rafaela. Miniatura ta wykonana jest w massie perłowej, na której rzadko kiedy pracowali miniaturzyści; szkoda wielka że miniatura ta jest uszkodzoną. Do ciekawszych lub piękniejszych należą portrety: księżny Czartoryskiej, generałowej Ziem Podolskich; portret jenerała Kozietulskiego w młodym wieku; J. Lubomirskiego, marszałka sejmu; jenerała Lewińskiego na spince kościanej; Juliusza Słowackiego, w młodym wieku (malowanym na bristolu); Miniatura Tadeusza Kościuszki w podeszłym wieku; portret Piotra Skargi i wiele bardzo miniatur znakomitych artystów, przedstawiających osoby obcej narodowości. Nader cennem zabytkiem artystycznym i dziejowym, jest 10 miniatur a właściwiej portretów olejnych pendzla Łukasza Kranacha, przedstawiających rodzinę Zygmunta Starego, to jest tegoż króla, Bonę, Zygmunta Augusta, Izabellę węgierską, Katarzynę rakuzką, Katarzynę szwedzką, Elżbietę Rakuzką, księżniczki: Annę i Zofię, oraz Barbarę Radziwiłłównę. Portrety te, własność hr. Rzyszczewskiej, noszą na sobie cechę starej niemieckiej szkoły. Nie możemy pominąć dwóch tabakierek ze zbioru p. L. Wrotnowskiego, nader wysoko cenionych przez znawców. Jedna rogowa, ozdobiona portretem Ludwika XIV w młodocianym wieku, emaliowanym w złocie przez Petitat'a. Jest to prawdziwe arcydzieło dawnego kunsztu jubilerskiego, artystycznie wykonane przez sławnego mistrza. Druga ozdobiona Amorkiem strzelającym z łuku, z napisem „Sans pardon." Ładne to cacko wykonane zostało przez córkę Bacciarellego. Ze zbioru pani Rusieckiej zwracała uwagę miniatura Kościuszki z szablą w ręku, malowana na kości. Z pomiędzy innych celniejszych okazów wymienić należy 16 miniatur na kości słoniowej, przedstawiających szereg scen mitologicznych a przypisywanych Angelice Kaufmann.

Bogato reprezentowany dział gobelinów, zdaniem znawców, należy do najznakomitszych w swoim rodzaju rzadkości, ale też znawców potrzeba aby go podziwiać i ocenić, bo zwykłego śmietrelnika wcale nie zachwycą. Ordynacya hr. Krasińskich przedstawiła aż 12 wielkich gobelinów wyobrażających sceny i postacie treści mitoligicznej, z pomiędzy których tak wielkością jak wyrobieniem odznaczały się gobeliny przedstawiające tryumf Marsa, Herkulesa i Omfalię, a z mniejszych przedstawiający Ledę z łabędziem, Marsa i Merkurego, oraz porwanie Europy. Z innych zwracały uwagę: myśliwski gobelin będący własnością ordynacyi Zamojskich; dalej gobelin brukselski z XVII w. i kilka flamandzkich.

Zwróciły uwagę naszą nieliczne okazy makat i haftów krajowego wyrobu, z fabryk istniejących u nas w XVI i XVII w. Z tych najcelniejsze były: przedstawione przez hrabiego Krasińskiego, wielki prostokątny kawał materyi na srebrnem tle, haftowany w wypukłe srebrne i złote kwiaty; makata polska złotem haftowana, wyobrażająca Stanisława Augusta pod Marymontem, ocalonego od zamierzonego zamachu; dwie makaty z herbem „Ślepowron", z podpisem M., co każe wnosić że jest to wyrób Mażarskiego.

Archidyecezya Warszawska i dekanat ciechanowski dyecezyi płockiej, jakoteż kilku jeszcze wystawców, przedstawili wspaniałe przybory: kościelne ornaty, kapy itp.; dalej zbiór różnych materyi, pasy materyalne ozdobione wypukłym haftem, robrony haftowane, napierśniki do ubrań kobiecych, a mianowicie szarfa ze srebrnej siatki, powszechną zwracały uwagę. Wschodnie materye i hafty, a mianowicie: perskie, tureckie, indyjskie, chińskie, bogato były reprezentowane.

Koronek starych było niewiele. Point d'Angleterre, point d'Alençón, Argenton, flamandzkie, weneckie, złote, wogóle mało okazów ale doskonale zachowane.

Dział mebli reprezentowany był licznie i świetnie, bo dochodził kilkuset okazów; w nich przeważał charakter wyrobów francuzkich, najwięcej z czasów Ludwików; okazy były bogate i piękne, lecz opis ich nie dałby się pomieścić w szczupłych ramach naszego sprawozdania, zastanowimy się więc tylko nieco nad wyrobami gdańskiemi jako bliżej nas dotyczącemi, oraz pamiątkami historycznemi.

Wyroby gdańskie z XVII i początku XVIII stulecia, cieszyły się uznaniem europejskiem. Wówczas gdy całe sąsiednie Niemcy a nawet w części i południowa Europa hołdowały manierom niesmacznego „zopf'u", Gdańsk nie stracił poczucia dobrego smaku; na meblach w nim wyrabianych nie dostrzeże owych niesmacznych manier i dziwactw epoki trzydziestoletniej wojny; wszystkie meble przedstawione na wystawie, należą jeźli już nie do stylu odrodzenia, to przynajmniej do barocco, najwięcej zbliżonego do pierwszej epoki tego stylu. Do takich odznaczających się okazów gdańskiej sztuki stolarskiej należy szafa przedstawiona na wystawie. Wykonana jest z wielkim gustem i poczuciem artystycznem pod względem ornamentacyi; takiemi przymiotami nie celowały bynajmniej wówczas wyroby sąsiednich Niemiec. Szafa ta zaszczytne daje świadectwo o wyrobionym dobrym smaku w ówczesnej Polsce. Z wyrobów obcych wymienimy tylko nader cenną pamiątkę, własność ordynacyi hr. Zamoyskich, jaką jest fotel obozowy ze stali wycinanej ażur, ozdobiony bronzem, należący niegdyś do króla Jana III.

Na zakończenie wspomnieć jeszcze musimy o wyrobach tapicersko-dekoracyjnych. P. Orthwein wystawił meble do gabinetu: bufet z drzewa dębowego w stylu Henryka II, pięknie rzeźbiony; cztery krzesła w stylu staro-niemieckim, pokryte skórą wytłaczaną z wyciskanemi w niej rzeźbami en relief, i dwie firanki także w stylu Henryka II imitujące gobeliny. Ma to być materyał tani, a bardzo efektownie się przedstawia. W niszy wybitej starodawną tkaniną, stał parawanik, dwa krzesła i stolik w stylu Ludwika XIII, pokryte bogatą, srebrem przerabianą materyą. Fantazyjne, piękne ubranie komina, fotel orzechowy w stylu Henryka II z drzewa krajowego, pokryty ma-

teryą w odpowiednim stylu. Dwa okna zdobiły firanki w stylu Ludwika XIV i adamaszkowe w stylu Ludwika XVI; w oknach fantazyjne kolumny pluszowe; całości dopełnia szafka i dwa krzesła chińskie. Wszystkie te meble odznaczają się gustem, elegancyą i wiernością stylową.

W następnym salonie mieściły się wyroby p. A. Haubolda, wykonane według własnego jego rysunku i układu. Piękny był fotel i krzesło w stylu Ludwika XIII, stół do pisania, ekran w stylu Ludwika XVI z medalionem do miniatur, dalej szafa kątowa do porcelany ze starego mahoniu, obita bronzami w stylu Ludwika XVI, fotel Marie Antoinette, którego pokrycie zdobił piękny bardzo haft ręczny i wiele innych przedmiotów, dowodzących wykonaniem że p. Haubold stara się nadawać wyrobom swoim pewną artystyczną cechę.

W innym salonie przedstawili wyroby swoje pp. Mergenthaller i syn. Przy oknach zawieszono firanki pluszowe, w stylu Ludwika XVI i Pompadour. Dalej zwracało uwagę fantazyjne przystrojenie kominka z lustrem; stalugi pod obraz ubrane pluszem, bardzo obecnie modne, jako dopełnienie eleganckiego umeblowania. Z mebli w dawniejszych stylach przedstawiony był fotel orzechowy w stylu Henryka II, pokryty skórą, wiernie odtworzony według znajdującego się w zamku Sully-Saint-Leger; fotel z czarnego drzewa gruszkowego, w stylu Ludwika XIV, wysłany według systemu owej epoki; ładną kanapkę czarną, wykładaną kością, w stylu renaissance, i wiele pięknie bardzo odrobionych krzeseł i foteli. Patrząc na tak piękne okazy, musimy podziwiać dobry ich smak i artystyczne wykończenie.

Wogóle okazy tapicersko-dekoracyjne mogą zadowolnić największe wymagania, szkoda tylko że żaden nie świadczy o własnej, samodzielnej twórczości i pomysłowości, ale jest wprost naśladowaniem lub odtwarzaniem obcych wzorów. Najwięcej jeszcze pod tym względem odróżnia się p. Haubold, ale choć sam rysuje modele, nie tworzy nic swojskiego lub oryginalnego. Drugi zarzut, iż wszelkie okazy są tak kosztowne iż tylko dla małej garstki nabywców mogą być dostępne. Należałoby starać się o wyroby pełne prostoty i gustu, nieprzeciążone rzeźbą i złoceniami a tem samem mogące być nabywane przez ogół ludzi pragnących mieć sprzęty gustowne a nie tak drogie. Temi zaletami odznacza się szafa kredensowa w stylu Henryka II, z czarnego drzewa, z rzeźbami en relief na dolnych odrzwiach, bardzo pięknie wykończona. Wykonaną została w zakładzie wyrobów stolarskich M. Piętnika, zaledwie od kilku miesięcy powstałego, który tem więcej większą ma zasługę i należy mu się zachęta i uznanie.

+

PRZEGLĄD BELLETRYSTYCZNY.

Pod skrzydłami almae matris. — Kasia i Marynka, Gabryelli. — Grzechy Hetmańskie, Kraszewskiego. — Romans pana Michała, Zacharyasiewicza. — Wspomnienia obywatela, przez autora „Kłopotów starego komendanta". — Bicz korali, Walerego Przyborowskiego

(Dokończenie.)

A jednak jak łatwo, obrabiając podobny temat, wpaść w niesmaczną karykaturę, pokazuje widocznie druga powieść, także opisująca nasze wiejskie stosunki z ich opłakanej strony, „Wspomnienia obywatelskie", przez autora „Kłopotów starego komendanta".

Nie robimy bynajmniej tej krzywdy Zacharyasiewiczowi, by porównywać z jego wyborną powieścią tak konsekwentnie obmyśloną, ten szereg obrazków, które byłyby zapewne bardzo śmieszne gdyby nie były tak przesadzone i gdyby ostatecznie fakt, że szajka łotrów chciała podejść na kupnie majątku pana Tymoteusza, urzędnika mającego dość sielankowe o wsi wyobrażenie, stanowiło dostateczny materyał powieściowy; materyał ten nawet okraszony spazmującą hrabiną i eteryczną, żądną pracy hrabianką, czyni wrażenie smutnej szarży i jest dowodem jak pogląd autora i sposób ujęcia przedmiotu stanowi w zupełności o wartości artystycznej i społecznej utworu.

„Romans pana Michała" i „Wspomnienia obywatelskie", oto dwie powieści przedstawiające w sposób humorystyczny kłopoty warstwy narodu, która jako niegdyś uprzywilejowana wyrobiła sobie pewne tradycye, a jako wzbudzająca niegdyś zazdrość dziś w chwili upadku, stała się przedmiotem żartów powszechnych, jak to ma często miejsce z upadłymi. Z tego tematu Zacharyasiewicz wysnuł śliczną powieść, a autor „Kłopotów starego Komendanta" zaledwie niesmaczną ramotkę, Zacharyasiewicz uwzględnił szeroko wszystkie składowe czynniki, które powodują niedobory tej warstwy i przeszkadzają jej przy dźwiganiu się z upadku, tak iż widzimy dokładnie, że czynniki te są zarówno dodatniej, jak ujemnej natury, a nawet, że dodatnie grają tu większą od ujemnych rolę: i tak gdyby pan Michał nie miał tak poczciwego serca, gdyby dom jego nie służył za przytułek całej rodzinie, gdyby porzucił chorą Salomeję dowiedziawszy się, że nie ma dostatecznego posagu, to nawet przy wadach dziedzicznych, jakie posiadał, nie byłby zapewne zbankrutował. Upadek jego więc pochodził raczej z dyzharmonii pomiędzy wadami i cnotami, jak z przewagi pierwszych, gdy tymczasem autor Kłopotow widział jedynie wady, a raczej nie wdając się w badania przyczyn, pokazał tylko ostateczne smutne rezultaty bez wskazówek, któreby je zrozumiałemi czyniły; to też gdy pierwszy jest malarzem, drugi pokazał się zaledwie fotografem. A przytem oprócz doskonałego obmyślenia i konsekwencyi, w dziele Zacharyasiewicza widny jest prawdziwy talent, który tryska z każdej sceny z każdego pojedyńczego szczegółu i rysu.

Dziwny to dar ten talent, często niezależnie od treści w książce zaniedbanej pod każdym względem opromieni nagle jaką kartę, scenę, postać i wbrew rozwadze krytycznej porwie czytelnika.

Alfred de Musset powiedział kiedyś, iż zadaniem poety jest łzy na perły przekształcić; zadanie to przypada wszystkim w ogóle autorom a tym szczególniej, którzy posługują się głównie wyobraźnią. Te myśli nasunęła mi szczupła książeczka pana Walerego Przyborowskiego „Bicz korali". Całość nie odpowiada wprawdzie warunkom powieściowym, brak jej dostatecznie umotywowanej akcyi początku i końca. Dlaczego bowiem Stefania i Jaś rzuceni zostali na łaskę losu, mając matkę kochającą ich z całego serca, dlaczego poszukiwała ich tak późno i tak niedołężnie? Autor tłomaczy to wprawdzie, ale tłomaczy w ten sposób, że nikogo nie zadowolni. Czytając „Bicz korali", nasuwa się koniecznie posądzenie, że autor miał w myśli parę bolesnych scen z sierocego życia i rzucił je na papier bez dostatecznego motywu.

Wprawdzie sceny te przypominają bardzo niektóre sceny „Nędzników" Wiktora Hugo, a terminator szewcki Michałek gra widocznie względem młodszych chłopców dobroczynną rolę Gavrocha. Przecież podobne wzory są trudne do naśladowania i wymagają koniecznie talentu, a gdyby z całej powieści wyciąć tylko opis wiatraka w nocy i wrażenie jaki ten straszny olbrzym mrugający czerwonem światłem i machający potwornemi ramionami, czyni na dzieciach, już ten opis starczyłby do przekonania, że pan Przyborowski umie patrzéć odczuwać i opisywać. Ale obok kart podobnych tem żywiej rażą niedobory powieściowe, których przecież łatwo byłoby uniknąć, a naprzeciw którym postawić możemy niby akt oskarżenia kilka prześlicznych scen i powołać się przeciw autorowi na samego autora, gdyż widocznie mógłby on wiele więcej niż uczynił.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

+ Na posiedzeniu Paryzkiej Akademii Napisów (Académie des inscriptions) odbytem 22 lipca, p. G. Maspero, profesor w *Collegé de France* i naczelny dyrektor muzeów egipskich, wypowiedział nader zajmujące sprawozdanie o rezultatach najnowszych badań archeologicznych, dokonanych pod jego kierunkiem w Egipcie, i prowadzonych jednocześnie w Aleksandryi, w Tebach i Sakkarah.

W Aleksandryi znaleziono niewiele zabytków zamierzchłej przeszłości; do celniejszych należy t. z. statua Hara, wyobrażająca Egipcyanina w wojskowym greckim ubiorze. Jest to jedyny znany okaz łączący w sobie zasadnicze cechy sztuki egipskiej i greckiej. Nader pomyślnym skutkiem uwieńczone zostały poszukiwania dokonywane w pobliżu Luksoru, gdzie, jak wiadomo, wznosiły się kiedyś „stubramne" Teby

Od czasu do czasu zdarzało się panu Maspero widzieć różne przedmioty z imionami Faraonów, których groby nieznane były europejskim badaczom, i pomimo usilnych starań długo nie zdołano wyśledzić zkąd pochodziły powyższe zabytki. Nareszcie przybywszy do Luksoru, p. Maspero wywiedział się, że głównym posiadaczem tajemnicy i zarazem wyzyskiwaczem starożytnych zabytków egipskich, jest niejaki Abder-Rassul, zamieszkujący w Garnach, grobowiec na dom przerobiony. Zdołano go wyszukać po długich staraniach i zatrzymano dla wybadania. Długo odmawiał wszelkich objaśnień — lecz gdy go osadzono w więzieniu w Keneh z oznajmieniem, iż nie odzyska wolności dopokąd nie poczyni dokładnych zeznań zkąd mianowicie czerpał sprzedawane przez niego starożytności, wskazał nareszcie ich źródło.

Poszukiwania zarządzone w oznaczonej miejscowości, przewyższyły najśmielsze oczekiwania; zaraz pierwszy spis znalezionych przedmiotów, obejmuje ich około 5,000. W jednym małym pokoiku znaleziono aż 36 sarkofagów z mumiami, z których połowa należy niewątpliwie do różnych królów tebańskich. Znaleziono sarkofagi kilku Faraonów z XVII-ej dynastyi, i wszystkich prawie pierwszych z XVIII-ej, a między nimi i najznakomitszego władcy z tej epoki, Tutmesa III, jakoteż Setiego I z XIX dynastyi i Pinotema z XX-ej, a oprócz tego sarkofagi około 20 księzniczek i książąt krwi królewskiej, noszących po większej części imiona słynne w dziejach nadnilskiej krainy. Pa-

pirusy już była ztąd wykradzione, odszukano jednak pięć zwojów nienaruszonych.

Odkrycie to podwoiło liczbę mumii i grobów Faraonów znanych dotychczas. Kilku Faraonów których zabalsamowane ciała znaleziono w tym grobowcu, mają osobne grobowce w „Dolinie królów". Zadziwiające to nagromadzenie sarkofaków i mumii władzców kilku różnych dynastyj, p. Maspero objaśnia przypuszczeniem, iż pod koniec XX dynastyi, z powodu kradzieży i rabunków dokonywanych w nekropolis tebańskim, któryś z Faraonów, chcąc ustrzedz od profanacyi zwłoki poprzedników swoich, kazał je przenieść do wspólnego w tajemnicy ukrywanego grobowca, odkrytego obecnie.

Poszukiwania dokonane w Sakarah, równie bogate przyniosły plony. Odkopano grobowiec dwóch królów VI dynastyi, pierwszego i ostatniego, oraz pięć nieznanych dotąd piramid. Na trzech mieści się bardzo wiele nader ciekawych napisów, odnoszących się do panowania ostatniego z królów V dynastyi. Pan Maspero dotąd zdołał tylko odczytać hieroglify na jednym grobowcu i znalazł tam teksty z liturgii i magii, znane już po części, lecz przekonywające, że doktryny religijne Egipcyan były już zupełnie utrwalone w tej zamierzchłej odległej epoce. Znajdują się tam bowiem imiona wszystkich bóstw egipskiego panteonu, od największych do najpodrzędniejszych—nawet imiona bóstw wyłącznie tebańskich, jak np. Ammona, z którego nazwiskiem nie spodziewano się spotkać w Memfis.

Biedni królowie! w tyle wieków po śmierci nie dają im spokoju.

✢ Dnia 19 września r. b. otwartą zostanie w Wiedniu czwarte z kolei posiedzenie międzynarodowego kongresu literackiego, którego program zapowiada się zajmująco, a nadto, staraniem stowarzyszenia *Concordia* zostającego pod prezydencyą p. I. Nordman'a, honorowego członka komitetu towarzystwa, zapewniona jest członkom kongresu najrozleglejsza gościnność, jako też znaczne dogodności i obniżenie kosztów przejazdu. Program kongresu dzieli się na trzy części. Członkowie są rzeczywiści i honorowi. Członkami rzeczywistymi z głosem decydującym w rozprawach o wszystkich kwestyach są: 1. Członkowie stowarzyszenia literackiego międzynarodowego. 2. Delegowani rządów. 3. Delegowani Towarzystw pokrewnych Stowarzyszeniu. 4. Literaci i publicyści specyalnie zaproszeni do współudziału w pracach kongresu — na odpowiedzialność biura stowarzyszenia. Członkami honorowymi, z prawem obecności na posiedzeniach publicznych i przyjmowania udziału w rozprawach z głosem doradczym, są: 1. Przedstawiciele prassy w charakterze sprawozdawców. 2. Pragnący uczestniczyć w kongresie, choć nie należących do żadnej z wyżej wymienionych kategoryj. Kobiety nie są wyłączone. Członkowie rzeczywiści otrzymują bilety białe, honorowi kolorowe.

Wszyscy członkowie bez wyjątku, z wyjątkiem przedstawicieli prassy, przybywających na Kongres w charakterze sprawozdawców, powinni wnieść opłatę w ilości 25 franków, poczem otrzymają karty wejścia nadające prawo do przejazdu po cenie zniżonej kolejami żelaznemi, a po skończeniu kongresu do publikacyi odnoszących się do prac obecnej sessyi. Językiem urzędowym jest francuzki, ale członkom przysługuje prawo zabierania głosu w języku ojczystym. Posiedzenia trwać będą od 20 najpóźniej do 29 b. m. Może program tymczasowy uroczystości i zabaw z okoliczności kongresu odbyć się mających w Wiedniu, zachęci wielu do przyjęcia w nim udziału.

Wieczorem dnia 19 września, zebranie i przyjęcie w sali balowej; 20, uczta wydana przez municypalność Wiednia; 21, wycieczka nowym Dunajem do Kahlenbergu; 22, galowe przedstawienie teatralne; 23, wycieczka do Semmeringu, obiad wydany przez towarzystwo dziennikarskie *Concordia*; 24, wieczór pożegnalny, kolacya wydana przez towarzystwo *Concordia*, koncert.

Program ponętny, ani słowa; pytamy jednak jak członkowie kongresu zdołają, nie już rozstrzygnąć ale choćby lekko przedyskutować sześć objętych programem ważnych kwestyi literackich, skoro same zabawy tak wiele zajmą czasu, w nader stosunkowo krótkim zakreślonym terminie.

✢ Dnia 21 maja r. z. kilkunastu deputowanych lewego krańca w Paryżu wnieśli w Izbie żądanie zniesienia metropolitarnej kapituły św. Genowefy i oddania kościoła tej patronki Paryża na wyłączne pomieszczenie zwłok i pomników znakomitych ludzi Francyi; po krótkich rozprawach, na posiedzeniu 19 lipca r. b. Izba wniosek ten uchwaliła większością 290 głosów przeciw 126.

Wspaniały ten kościół wzniesiony na cześć patronki Paryża, która przed czternastu wiekami dwukrotnie obroniła dzisiejszą stolicę Francyi, (raz przeciw Attyli, a we 25 lat później, w czasie oblężenie miasta przez Childeryka, przedarła się przez obóz oblegających i zaopatrzyła Paryż w dostateczne zapasy żywności), który zaczęto budować w r. 1757 pod kierunkiem i według planu znakomitego architekta Soufflot, kilkakrotnie już ulegał zmianie przeznaczenia, odpowiednio do politycznych prądów wiejących nad Francyą podczas różnych wewnętrznych wstrząśnień i rewolucyi. Podczas komuny, zamieniono gmach ten w fortecę, którą trzeba było oblegać dla przywrócenia porządku, a kule karabinowe i działowe, tkwiące w kamiennych ścianach świątyni, stanowią niezatarte ślady tych chwil burzliwych.

W kilka lat zaledwie po ukończeniu budowy, po pierwszej wielkiej rewolucyi, Zgromadzenie narodowe postanowiło dekretem z r. 1791, żeby wspaniały ten przybytek Pański pozbawić duchownego charakteru i przeznaczyć na uczczenie znakomitych mężów Francyi. Myśl zgromadzenia w jednem miejscu pomników wielkich i zasłużonych krajowi ludzi, zasługiwała na uznanie, lecz dla jej urzeczywiśnienia nie potrzeba było pozbawiać tegoż miejsca świętości jego charakteru. Nie wiadomo czy decyzya Izby deputownnych zostanie zatwierdzona przez Senat, ale w żadnym razie panteon ten nigdy nie stanie się tem czem Westminster w Londynie. We Francyi lud nie nauczył się jeszcze czcić rzeczywistej zasługi; dość chwilowego zaburzenia, aby strącił w błoto komu wczoraj stawiał ołtarze lub rzucił na pastwę wiatru, popioły tego któremu tylko co bił pokłony. W Anglii wspaniały kościół opactwa Westminster mieści w swych murach całe dzieje kraju, wypisane marmurowemi literami. Tu spoczywa liczny zastęp królów, nie obawiając się żeby jakakolwiek rewolucya spokój ich przerwała, bo najgwałtowniejsza zatrzymałaby się przed drzwiami tej świątyni. Lud angielski nie zapiera się i umie uszanować przeszłość; ma i on zapewnie swoje pragnienia i dążenia, swoje niechęci i nienawiści, ale te nie sięgają wstecz przez szereg wieków, a nadto ma tyle zdrowego rozsądku, że nie potępia swoich wielkich przodków za to, że nie odgadli idei mających powstać w kilka wieków później. To też stara Anglia spoczywa bezpiecznie i spokojnie w starożytnej bazylice, obok późniejszej i dzisiejszej, a drzwi Westminsteru stoją otworem dla wszystkich bez wyjątku klas społecznych. Tu mieszczą się w chronologicznym porządku wszystkie chwały narodu: monarchowie, admirałowie, jenerałowie, ministrowie, mężowie stanu, mówcy, poeci, znakomici podróżnicy, co jak David Livingstone padli ofiarą swego poświęcenia dla nauki. We Francyi panteon stałby się niejednokrotnie widownią strasznych profanacyi, jak to niejednokrotnie już miało miejsce.

I Panteon też różne przechodził koleje; dopiero w 1806 r. Napoleon I w chwili, gdy stał u szczytu swej potęgi przywrócił kościołowi św. Genowefy jego duchowny charakter, pozostawiając podziemne katakumby miejscem wiecznego spoczynku dla sławnych ludzi. Dalej w r. 1821, zapadło postanowienie królewskie, przeznaczające świątynię tę wyłącznie dla służby Bożej i nie dozwalające przystępu do grobów komukolwiek prócz osób stanu duchownego. Rewolucya z 1830 roku nadała znów panteonowi charakter wyłącznie cywilny, i zamieściła na frontonie napis: *„Aux grands hommes la patrie reconnaissante"* (Wielkim mężom wdzięczna ojczyzna). Monarchia lipcowa nie śmiała ująć się za duchownemi prawami świątyni, dopiero Ludwik Napoleon, zostawszy prezydentem rzeczypospolitej, d. 6 grudnia 1851 r., znowu zwrócił panteon kapitule metropolitarnej św. Genowefy, a kościół nabożeństwu, zachowując i nadal prawo składania w jego grobach popiołów ludzi zasłużonych krajowi. Ciekawa rzecz czy dzisiejsze pochowane tam wielkości, długim spokojem cieszyć się będą, czy potomność ich tam pozostawi.

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Ubrania letnie spacerowe.

Suknia muślinowa. Spódnica zagarnirowana plisowanemi falbanami z gładkiego niebieskiego muślinu, z pasowanemi kolorowemi szlakami, stanik zaś z muślinu w rzucik kolorowy. Chusteczka Marie Antoinette z żółtawego indyjskiego muślinu, garnirowana koronką. Kapelusz z angelskiej słomki z kokardą konkową i wiankiem róż na rondku.

Suknia kaszmirowa. Stanik ma plastron bawetowy z ciemnego atłasu, z którego również dana szarfa i oryginalna szeroka, przemarszczona bufa na spódnicy. Koronka bretońska dopełnia przybrania. Kapelusz z grubej słomki, garnirowany suto crêpe.lisse i opasany hiszpańską koronką.

W interesie własnym Szanownych Prenumeratorów *Tygodnika Mód* upraszamy ich, aby przy odnawianiu dalszej prenumeraty, albo żądaniu zmiany adresu, lub wysłania zatraconych numerów, oraz przy objawianiu wszelkich reklamacyi, nadsyłać raczyli kartkę adresową niniejszego pisma na opasce naklejoną, lub wypisywać oznaczone na niej numery; a to celem łatwiejszego odszukania w miejscowej kontroli nazwiska prenumeratora, tem samem więc spieszniejszego wykonania objawionego żądania.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 24 Августа 1881 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 37 r. 1881.

IDA LATIMER.

Przez

RODĘ BROUGHTON.

Przekład

K. P.

(Dalszy ciąg.)

Ósma wieczorem. Powozy przejeżdżają szybko wiozące śpieszących się na obiad, a gazowe latarnie otaczają skwer dokoła, błyszczą jakby gwiazdy. Chory zdrzemnął się, a Ida korzystając z tego weszła do swego pokoju, przebrała się w ranny szlafroczek, i usiadła przy oknie. Czując jednak że powieki jej zamykają się pomimowolnie, położyła się w ubraniu na łóżku, aby przespać się choć przez pół godzinki.

Wkrótce jednak zasnęła tym snem ciężkim, w ciągu którego godziny upływają niepostrzeżenie, i gdyby jej nie przebudzono spałaby z pewnością do rana. Ale nie pozwolą jej na to, bo jakiś hałas, którego nie potrafiłaby określić, zaczął się łączyć z jej marzeniami, następnie obudził ją choć i teraz jeszcze nie mogła zdać sobie z niego sprawy, a nakoniec dochodzi do jej słuchu wyraźnie, jako głośne pukanie do drzwi.

Zerwała się natychmiast z łóżka aby je otworzyć. Przy słabem świetle dopalającej się świecy poznała doktora, którego twarz zwykle poważna, teraz jeszcze poważniejszy przybrała wyraz.

— Chodź pani! rzekł krótko.

— Czy ma się gorzej? zawołała zupełnie już przebudzona.

— Tak.

— Czy... czy już ko... na?... zapytała znów drżącym i przerywanym głosem.

— Tak.

Poszła za nim nie mówiąc już ani słowa. Wchodząc do pokoju chorego, zastała w nim okna otwarte, a garde-malade stojąca przy łóżku poruszała wielki wachlarz, niezdolny niestety! przywrócić tchu bezwładnym już płucom.

Chory zachował jeszcze zupełną przytomność umysłu. Siedzi na łóżku wsparty na poduszkach, przez spieczone jego usta wychodzi ciężki i krótki oddech.

Ida stoi w nogach łóżka ze złożonemi rękami i patrzy z boleścią na tę walkę śmierci z życiem, tak straszną dla tych zwłaszcza, którzy ją widzą po raz pierwszy. Nie wiedziała nawet że łzy płyną z jej oczu, i zadrżała jakby doszedł do niej jakiś głos wychodzący z grobu, gdy ojciec przemówił do niej, z trudnością wprawdzie, ale równie ironicznym tonem, jak gdy wyśmiewał się z jej umiejętności francuzkiego języka.

— Proszę cię... Ido... nie... płacz. Nikt jeszcze... nie... wzruszył mnie... łzami... Śmiej się, moja droga... śmiej się!

Nawet w tym gasnącym głosie czuć jeszcze jakieś przedrwiwanie, którego Ida nie może znieść w tej chwili. Wysunęła się cicho z pokoju aż do sieni, usiadła na pierwszym stopniu schodów, zakryła twarz rękami i płakała. Nie słyszała nawet że doktor się zbliża, dopóki nie zatrzymał się tuż przy niej.

— Czy pan nie może przynieść mu jakiej ulgi, zmniejszyć jego cierpienia? zapytała prawie ostro, gdyż przez uchylone drzwi słychać było jeszcze ciężki oddech chorego.

— Nie mogę, odpowiedział.

— Jest to dla pana zupełnem niepodobieństwem?

— Zupełnem.

— W takim razie na cóż się zda cała umiejętność pana? zawołała podnosząc na niego pełne blasku i łez oczy.

— Śmierć jest potężniejszą od nauki, odpowiedział smutnie.

— O! jakże to straszne! odezwała się znów pochylając głowę. Jakże to musi być okropnem gdy kogoś bardzo kochamy!

— Wszystko to, rzekł skończy się już niedługo.

— Czy nie ma na świecie nikogo coby go kochał? choćby to był pies tylko!... Chciałabym aby był przez kogoś kochanym, dodała z wyrazem boleści, czując coś podobnego do wyrzutów sumienia.

Sądziła że Burnet dozna choć lekkiego wzruszenia, ale poznała że się myli, gdy odezwał się dość chłodno.

— Skoro to doprowadza pana do tak gwałtownego wzruszenia, to niech pani lepiej wróci do siebie. Przywołałem panią ponieważ chory ma jeszcze zupełną przytomność umysłu, i może zechce pomówić z nią jeszcze; ale nie trzeba zakłócać jego chwil ostatnich.

W jego głosie było coś takiego, co osuszyło jej łzy i zachęciło do zapanowania nad sobą. Podniosła się i odpowiedziała dość spokojnie.

— Nie doznaję bynajmniej gwałtownego wzruszenia, tylko jestem po raz pierwszy przy łożu umierającego, a jakkolwiek jest to dla pana teraz rzeczą zwyczajną, może był czas w którym i na panu wywierało pewne wrażenie.

Mówiąc to, wróciła do pokoju chorego i stanęła znów w nogach jego łóżka. Spojrzenie jej spotyka się niekiedy ze spojrzeniem ojca; stoi nieruchoma, z założonemi rękami, z szyją odkrytą; włosy jej zwykle zapięte tak starannie, zsunęły się na jej ramiona, a ten nieład w ubraniu, zmienia i łagodzi wyraz jej twarzy.

Tak mijają godziny. Wiatr powiewa firankami i układa je w dziwaczne kształty; kobieta doglądająca chorego porusza ciągle wachlarz, aż nakoniec nadchodzi chwila w której noc ustępuje przed światłem dziennem.

— Gdzie jest... Burnet?

— Tu jestem.

— Sądzę—chory zwrócił trochę głowę w tę stronę z której do niego głos dochodzi — sądzę... że przedstawienie... już.. prawie... skończone?

— Tak, prawie.

— Czy to Burnet przemówił z wyrazem tak tkliwego politowania? Wychudła ręka chorego zbliżyła się do ręki przyjaciela i uścisnęła ją lekko.

— Gdyby nie ty... skończyłoby się... już... dziesięć lat... temu!

Burnet w miejsce odpowiedzi uścisnął rękę chorego.

— Byłbym bardzo... zadowolony... gdybyś... dodał... jeszcze dziesięć... lat... do mego... życia!

Były to ostatnie słowa wymówione zrozumiale na tej ziemi przez Tomasza Latimer.

X.

Już po pogrzebie. Za trumną Tomasza Latimer postępował tylko pan Marlowe, którego nie widział już od lat piętnastu i długi szereg pustych powozów.

Latimer zostawił testament zawierający rozporządzenia dotyczące jego majątku wynoszącego pięć milionów, które byłby wolał zabrać z sobą do grobu. Spadkobiercy znają już teraz te zozporządzenia, i od dwóch godzin Ida i pan Marlowe roztrząsają je z największą żywością.

— To coś potwornego! zawołał pan Marlowe może po raz dwudziesty, chodząc po pokoju wielkiemi krokami, z najeżonemi włosami, z rękami wsuniętemi w kieszenie paltota. Podobny testament nie może być ważnym. Nie miałem nigdy wiele do czynienia z prawnikami, ale, dzięki Bogu, nie trzeba znać prawa aby mieć rozsądek i poczucie sprawiedliwości. Nie ma jednego trybunału w całej Anglii któryby nie uznał że ten testament został napisany przez waryata!

— Choćby wszystkie trybunały Wielkiej Brytanii zawyrokowały że jest waryatem, nie zmieniłoby to mojego zdania, odpowiedziała stanowczo Ida. Posiadał równie zdrowe zmysły jak ja.

Stała przy kominku w długiej żałobnej sukni.

— Cóż to znaczy! zawołał tem gwałtowniej, że odważył się objawić zdanie niezgadzające się z wyrażonem przez siostrzenicę. Czyżby człowiek ze zdrowym umysłem, mógł przez lat dwadzieścia, pozostawić odwrócony do ściany portret swej żony, mojej nieszczęśliwej siostry, a teraz zapisać mi go testamentem, z tym jeszcze dodatkiem, iż ma nadzieję że portret będzie dla mnie przyjemniejszym, niżeli dla niego była osoba którą przedstawia?

— Powtarzam raz jeszcze, rzekła, że nie był waryatem.

— Dobrze! dobrze! zobaczymy to... zobaczymy..., odpowiedział wuj, niezdolny sprzeczać się dłużej z osobą której tak długo był posłusznym. Za godzinę będziemy mieli konsultacyą z panem Blank. Saunders utrzymuje (Saunders zajmuje się prawnemi interesami pana Marlowe) że Blank jest najlepszym prawnikiem w Anglii. Obiecał nam już że przybędzie za godzinę.

— Prawdę mówiąc, odezwała się znów Ida, ojciec miał prawo rozporządzić swym majątkiem na korzyść tej lub owej osoby, i położyć warunki jakie uznał za stosowne. Dla tego też wina nie cięży tu na *nim*, dodała z wyrazem najżywszej niechęci.

— Na nikim jeszcze nie zawiodłem się tak bardzo jak na *tamtym*, rzekł z ubolewaniem Marlowe. Na pierwsze wejrzenie wydawał mi się bardzo uczciwym człowiekiem; miał takie szczere i poczciwe spojrzenie; skoro podał komuś rękę, to zdawało się że czyni to szczerze, bez żadnej podstępnej myśli. Dziś byłoby mi przyjemniej, gdybym był nigdy nie dotknął się tej ręki.

— Przypomnij sobie, drogi wuju, rzekła Ida z wyrazem pewnej wyższości, że mnie od pierwszej chwili nie podobała się jego fizyognomia, i że nawet z tego powodu żartowałeś ze mnie. Powiedz teraz sam czy nie miałam słuszności.

— Prawda! prawda! odpowiedział wuj z pokorą. Musisz jednak przyznać, Ido, że zwykle podzielam twoje zdanie.

— Przyznaję, drogi wuju, rzekła opierając białą rączkę na jego ramieniu i przybierając opiekuńczą

postawę jego anioła stróża. Spuściłabym się zupełnie na twoje zdanie, gdyby szło o rzeczy w którychby mogło być trafniejszem od mego, ale zdaje mi się że tam gdzie trzeba powodować się głównie przeczuciem, łatwiej unikniesz pomyłki, jeźli mnie słuchać zechcesz.

— Tak, tak! z pewnością, rzekł z wyrazem głębokiej skruchy; ale... ale wracając się do *niego* nikt jeszcze nie zawiódł mnie do tego stopnia.

Nastąpiło milczenie. Ida usiadła na fotelu, wsparła na poręczach łokcie i rozmyśla.

— Jeźli wnioski ich będą dla nas nieprzychylne, odezwała się nakoniec,—a przeczuwam że tak będzie,—wróćmy do naszego dawniejszego życia. Nie jestem dumną, kochany wuju, i nie przeraża mnie ta myśl że będziesz zmuszonym żywić mnie i dać w swym domu schronienie. Zdaje mi się,—mówiąc to spoglądana niego z pełnym ufności uśmiechem,—zdaje mi się że ci jestem trochę użyteczną i potrzebną.

— O! tak! zawołał z głębokiem przekonaniem. Nie potrafiłbym policzyć, ile razy pomyślałem w czasie twej nieobecności: „Zapytam się o to Idy," lub: „Co też Ida na to powie?" zapominając że Idy już nie ma u mnie.

— Wróci niedługo, rzekła z uśmiechem.

— Nie uskarżam się bynajmniej na dzieci, rzekł marszcząc lekko brwi, i wpatrując się z trochę zafrasowaną miną w dywan leżący pod jego nogami; sądzę że nie są gorsze od innych dzieci, ale jedno z nich pragnie zrzucić z siebie jarzmo.

— Któreż to? zapytała z żywością. Jestem pewna że Janina.

— Nie uskarżam się na Janinę, mówił dalej: jest to piękna i rozgarnięta dziewczyna, a trzeba też i na to zwrócić uwagę że wyrosła na panienkę, gdy my uważaliśmy ją ciągle za dziecko.

— Ale bo też to jeszcze dziecko! zawołała z żywością Ida; w sierpniu skończyła piętnaście lat.

— Prosi mnie ciągle, mówił dalej, pan Marlowe z miną zakłopotaną, abym oddalił pannę Schwartz. Powiada że ty byłaś młodszą jak ona obecnie, kiedy już porzuciłaś książki i kajety.

Niepodobna porównywać nas z sobą, rzekła Ida rumieniąc się z gniewu.

— Powiada że umie już tyle co panna Schwartz, i że mogłaby więcej poświęcić się dla mnie, gdyby miała więcej czasu.

— Zapewnie, mój wuju, gdy odzywa się z podobnem żądaniem, każesz jej milczeć i odsyłasz ją do lekcyi, rzekła Ida patrząc na niego surowo.

— Tak!... bez wątpienia... to jest... nie pamiętam dobrze co jej odpowiedziałem; jest to rzecz tak błaha... Biedne dziecko ma najlepsze w świecie intencye... i... patrzy z pewnym przestrachem na twarz siostrzenicy, która przybrała wyraz tak surowy i powiada że chce być moją prawą ręką.

— Widzę wujaszku, rzekła Ida z trochę pogardliwym śmiechem, że umiała trafić w twoją słabą stronę. Ale nie kłopocz się o to; wszystko będzie dobrze skoro wrócę do domu, a wtenczas zobaczymy kto będzie prawą twoją ręką.

Wkrótce po tem pan Marlowe wyszedł, a Ida pozostała na swym fotelu, w którym przepędziła już tyle samotnych godzin. Na stoliku przy niej stoi zapalona lampa, ale nie myśli czytać ani też zająć się jakąś robotą, teraz tylko umysł jej pracuje podając jej myśli natchnione gniewem i chęcią zemsty. Dobiera zawczasu najdotkliwiej dojmujące wyrażenia, które przy pierwszej sposobności zamierza rzucić w oczy chciwemu intrygantowi, wydzierającemu jej majątek. Sposobność tę będzie miała prędzej niż się spodziewa, bo nie zdołała jeszcze ułożyć dość według niej, piorunującej i pogardliwej odpowiedzi na jakieś jego domniemywane zapytanie, gdy wszedł służący pana Marlowe i oznajmił doktora Burnet'a.

— O! nie opuści tej sposobności zużytkowania tych wszystkich pocisków które przygotowała przeciwko niemu.

— Powiedz mu że jestem zajęta.

— Kazał mi oznajmić że potrzebuje pomówić z panią w interesie niecierpiącym zwłoki.

— Powiedz mu że nie chcę go przyjąć, odpowiedziała dumnie, choć drżącym głosem.

— A jednak pani mnie przyjmie, *bo tak być musi*, odezwał się stanowczym tonem doktor Burnet, który wszedł odsuwając służącego, zamknął za nim drzwi i stanął przed Idą patrząc jej prosto w oczy.

— Jak pan śmie wchodzić do mnie, skoro powiedziałam wyraźnie że nie chcę go widzieć? zawołała wybuchając gniewem.

— Bo musiałem wejść, równie jak pani chętnie czy niechętnie musi mnie wysłuchać!

W miejsce odpowiedzi pobiegła ku drzwiom, ale zastąpił jej drogę. Twarz jego zwykle spokojną, pokrywa teraz śmiertelna bladość, z oczu ogień tryska. Głos i spojrzenie jego zdradzało tak niezłomną wolę że zatrzymała się mimowolnie.

— Wie pani, rzekł, przynajmniej powinna pani się domyślić, że przychodzę tu z powodu tego... tego... testamentu.

— Bez wątpienia!

Trudno byłoby zamieścić w jednem słowie więcej ironii i pogardy nad tę która dźwięczała w głosie Idy.

— I pani wie co zawiera w sobie?

— Tak, odpowiedziała z szyderczym tonem.

— W takim razie wiadomo pani że z wyjątkiem drobnych legatów, pan Latimer zapisał pani cały swój majątek ruchomy i nieruchomy, pod tym jednak warunkiem abyś po dojściu do pełnoletności została moją żoną.

Już ta sama myśl że ich nazwiska stoją obok siebie w testamencie, była dla niej tak wstrętną, że nie mogła zdobyć się na odpowiedź.

— Wiadomo pani niemniej, że jeźli pani nie zechce dopełnić tego warunku, cały ten majątek ma przejść w moje ręce.

Mówił bardzo prędko, jak gdyby chciał jak najśpieszniej zakończyć rozmowę bardzo dla niego przykrą. Ida odpowiedziała mu tylko dumnem skinieniem głowy.

— Z drugiej znów strony, mówił dalej, jeźli ja nie zechcę ożenić się z panią,—wymawia te słowa z jakimś dziwnym wyrazem, majątek staje się niezaprzeczalną pani własnością, którą będziesz mogła rozporządzać stosownie do swej woli.

Odpowiada mu znów jedynie pogardliwym uśmiechem.

— Mam nadzieję że mi pani zechce oddać tę sprawiedliwość że byłem niemniej od niej zadziwionym tem szczególniejszem zastrzeżeniem, zawartem w testamencie jej ojca.

— Wolę, rzekła zimno, nie odpowiadać wcale na to pytanie.

— Chcę, mówił dalej zbliżając się do niej, i patrząc jej śmiało w oczy, chcę aby pani wiedziała o tem, że dotąd, równie jak pani, nie znałem wcale treści testamentu.

Znów z jej strony tylko pogardliwy i szyderski uśmiech.

— Czy to być może? zawołał po chwili milczenia, opierając się ręką o poręcz krzesła jakby czuł zawrót głowy. Więc taką powzięła pani opinią o mnie? O! w takim razie dodał z żywością, uspokoję panią nie tracąc chwilki czasu. Oświadczam że nie miałem żadnego udziału w tym bezrozumnym pomyśle! Przysięgam,—mój Boże! więc aż do tego zostałem doprowadzonym... nie na mój honor, bo pani o nim powątpiewa, ale na wszystko co może być najświętszem na świecie, *że wolałbym zostać żywcem obdartym ze skóry* niżeli ożenić się pod takiemi warunkami! Sądziłem, dodał z wyrazem zimnej pogardy, że nie będę potrzebował zapewniać pani o tem.

Ida stała przed nim milcząca, prawie skamieniała; teraz dopiero zaczyna pojmować że nie umiała ocenić tego człowieka. Wszystko to co mu chciała powiedzieć uleciało nagle z jej pamięci, a jednocześnie znikł ironiczny uśmiech tak długo błądzący po jej ustach.

— Więc to takie zdanie powzięła pani o moim charakterze? odezwał się po chwili milczenia, spokojniejszym już, ale zawsze pogardliwym głosem; trudno zaprzeczyć że niebezpieczeństwo było bardzo groźne! Teraz już stało się dla mnie zrozumiałem postępowanie pani, tak dziwne że niepodobna mi było wytłomaczyć go sobie. Jakże byłem ograniczonym! Gdybym był odgadł o co pani idzie, byłbym już mógł przed miesiącem rozproszyć obawy!

Patrzyła ciągle na niego zawsze milcząca i nieruchoma, jakby nie mogła oderwać oczu od tej twarzy, od której dotąd odwracała je pogardliwie.

— Tak, przypominam sobie, że pani kiedyś zadała mi pytanie, dla czego cię tu przywiozłem, ale nie zrozumiałem wtenczas jego znaczenia. Nie odpowiedziałem na nie wówczas, bo widziałem że objaśnienia moje nie trafią do przekonania pani, już dla tego samego że wychodzą z ust moich. Może teraz wysłuchasz ich pani z większą ufnością? W przeciwnym razie... mniejsza o to!

Skinęła ręką jakby chciała mu dać do zrozumienia że nie chce słyszeć nic więcej, a potem rzekła:

— Nie potrzebuje się pan tłomaczyć; nie żądam tego.

Nie zważając na to, mówił dalej zimno i spokojnie.

— Obojętność ojca dla pani dawno już zwróciła moją uwagę; była to nawet jakaś niechęć dochodząca prawie do wstrętu; dla tego też widząc że nawet zbliżająca się śmierć nie zmieniła jego usposobienia dla pani, a z drugiej strony wiedząc że mało go to obchodziło jaką pozostawi po sobie opinią, zacząłem się obawiać aby nie wydziedziczył pani, korzystając z tego że miał prawo rozporządzać swym majątkiem.

Przestał mówić na chwilę, Ida usiadła; nie mogła dłużej utrzymać się na nogach.

— Powiedziano mi, odezwał się znowu, że pani jesteś piękną.

Zdawało jej się że powiedział to takim tonem jakby i pod tym względem doznał zawodu.

— Piękność, jak to pani wiadomo, wywierała na nim zawsze silne wrażenie;osądziłem więc że skoro zobaczy panią, stanie się życzliwszym dla niej.

Skinęła znów na niego aby przestał mówić, ale nie zważał na to.

— Nie bez trudności otrzymałem pozwolenie zawezwania pani do Londynu, a wtenczas, jakkolwiek trudno mi oderwać się od moich zajęć, postanowiłem sam jechać po panią, wiedząc że łatwiej zawsze porozumieć się osobiście niż listownie... Zdaje mi się że nie potrzebuję pani przypominać, jak niegrzecznie zostałem przez nią przyjętym... Zapewnie trzeba to przypisać krzywdzącemu mnie podejrzeniu, które już od pierwszej chwili powstało w umyśle pani...

Pochyliła głowę i zakryła twarz rękami; ale nie widząc go nawet czuła że na nią patrzy.

— Nie zniechęciło mnie to jeszcze, mówił dalej, przypisywałem opryskliwość ułożenia pani wychowaniu, lub cierpkości charakteru, i sądziłem że je potrafię ułagodzić. Gdybym był mógł domyśléć się jak pani śmie tłomaczyć sobie moje pojednawcze usiłowania, byłbym wyrzekł się ich natychmiast!

Nastąpiło milczenie tak długie i tak zupełne, że Ida zadawała sobie pytanie czy nie wyszedł już z pokoju. Ale nie! spojrzała ukradkiem przez palce i zobaczyła że stoi jeszcze przed nią przy stoliku.

— Jesteś pani zbyt jeszcze młodą, rzekł nakoniec z wyrazem politowania, aby podobna podejrzliwość mogła być usprawiedliwioną. Czy według pani prosta uczciwość jest rzeczą tak rzadką, że nie mogłaś jej przypuścić w człowieku którego charakter i uczucia były pani zupełnie nie znane, który nie tylko że nigdy nie wyrządził ci nic złego, ale pragnął twego dobra? Pozwoli pani że jej udzielę radę zupełnie z mej strony bezinteresowną; nie przypisuj pani złych zamiarów tym których będziesz spotykać w dalszem swem życiu; nie szukaj złego w ich najprostszych postępkach, a będziesz bez porównania szczęśliwszą, choćbyś nawet niekiedy doznała przykrego zawodu.

Po tych słowach wyszedł z pokoju, daleko spokojniejszy niż był wchodząc do niego.

XI.

Zaświtał dzień nowy, i wschodzące słońce,—jeźli można mówić o londyńskiem słońcu w zimie—zastało już jakąś inną, przeistoczoną Idę. Długo nie mogła zasnąć, a teraz trudno jej się obudzić. Nie, to nie może być taż sama osoba zawsze tak żwawa i rezolutna, wygłaszająca z taką pewnością zdanie o wszystkiem, gotowa zawsze występować z radą lub gromić wszystkich w domu, nie przypuszczając nawet że często ona sama potrzebuje rady lub zasługuje na połajanie. Tak było jeszcze wczoraj, a dziś opanowało ją jakieś zwątpienie, przestała ufać sobie, stała się tak pokorną, że uznawała się godną pogardy.

Zdawało jej się że wyczytała tę pogardę z twarzy bladej i surowej, że ją odgadła w dźwięku głosu dotąd jeszcze brzmiącego w jej uszach. Nie ma przykrzejszego uczucia nad to którego doznajemy gdy jesteśmy zmuszeni przyznać sobie że przeceniliśmy własną swą wartość, zwłaszcza gdy wskutek pochwał któremi obsypywano nas ciągle, powzięliśmy o sobie jak najlepsze wyobrażenie. Ida czuje się tak zawstydzoną, że prawie obawia się powrotu światła dziennego, a jednak nie zdoła uniknąć nietylko tego, ale i spotkania się z wujem, a prawdopodobnie i z panem Burnet'em. Nie może nic więcej uczynić dla zmniejszenia swej winy, jak o ile można najprędzej wywieść z błędu wuja, wydrzéć z jego umysłu podejrzenie które w nim sama zaszczepiła; powiedziéć mu, co jej się nie zdarzyło nigdy przez całe sześć lat; „Miałeś słuszność, a ja się omyliłam."

Ubrała się śpiesznie, choć niechętnie, i udała się do sali jadalnej gdzie już zastała wuja przy stole, ubranego w żałobę od stóp do głowy, co zmieniało zupełnie jego powierzchowność.

— Nie gniewaj się że nie czekałem na ciebie, Ido, rzekł podnosząc oczy od talerza; muszę dziś jeszcze załatwić wiele interesów. Byłem już u Saundersa, a o jedenastej pójdę z nim razem do adwokata.

— Nie potrzebujesz się tem trudzić, kochany wuju, rzekła opierając rękę na jego ramieniu. To już zupełnie niepotrzebne.

Podniósł prędko głowę, i zaczął wpatrywać się w nią bystro, jakby chciał coś wyczytać z wyrazu jej twarzy.

— Nie potrzebujemy już pomocy adwokata, dodała stłumionym głosem, odwracając trochę głowę. Porozumieliśmy się już z sobą.

— Jakto! zawołał pan Marlowe upuszczając nóż i widelec; jakto? co chciałaś powiedziéć? Czy... czy postanowiłaś... pójść za niego?

— Nie mogę dostąpić takiego szczęścia, odpowiedziała z przymuszonym uśmiechem, bo on mnie nie chce. Powiedział mi wyraźnie że *wolałby być żywcem obdartym ze skóry* niżeli ożenić się ze mną.

— Czy to być może! zawołał wuj podskakując na krótkich nóżkach i odpychając talerz z szynką i jajami.

— Osądził, mówiła dalej że byłabym dla niego zbyt przykrym ciężarem, nawet pomimo pięciu milionów posagu.

— Nic jeszcze w życiu nie ucieszyło mnie tak szczerze! zawołał wuj z radością, i odetchnął głęboko jakby mu ciężar jakiś spadł z piersi. Zresztą nie mógł uczynić nic lepszego; mógł być pewnym że przegra. Saunders powiada że z pewnością otrzymalibyśmy pomyślny dla nas wyrok. Ja także mówiłem to zaraz... Ale teraz już wszystko jedno czy mówiliśmy tak czy inaczej.

— O! nie wszystko jedno odezwała się trochę drżącym głosem. Gdybym była zamiast trzymać się swego zdania zawierzyła tobie, nie potrzebowałabym teraz wstydzić się tego że znieważyłam niesprawiedliwem posądzeniem człowieka który...

Nie mogła powiedziéć więcej gdyż zabrakło jej głosu.

— Mój Boże! cóż się takiego stało? rzekł pan Marlowe odurzony tak nagłą zmianą w usposobieniu swego bożyszcza, strąconego nagle z piedestału na którym wznosiło się tak dumnie przez sześć lat blizko, cóż zaszło tak nadzwyczajnego? cóż mu tak dalece na tem zależy jakie masz o nim zdanie?. Po cóż ma wiedzieć o tem? Wątpię abyś mu je objawiła otwarcie, dodał śmiejąc się głośno.

— Właśnie że dałam mu je poznać jasno i wyraźnie, odpowiedziała smutnie pochylając głowę; z początku nie zwracał na to uwagi, ale skoro się dowiedział o moich względem niego podejrzeniach... nie ukrywał już swej dla mnie pogardy, na którą zresztą zasłużyłam.

— Pogardy! zawołał z gniewem pan Marlowe. To już doprawdy zanadto! Bądź co bądź twoje zdanie było zupełnie usprawiedliwionem; wszystkie pozory były przeciwko niemu... Nie ma osoby któraby...

— Dobrze już, dobrze! zawołała zniecierpliwiona. Nie mówmy o tem więcej! Stało się, i nic już na świecie zmienić tego nie potrafi. Teraz tego tylko sobie życzę, abym nie spotkała się z nim nigdy w życiu!

— Hę! odezwał się wuj z miną zakłopotaną, nie wiem jakim sposobem mogłabyś uniknąć tej nieprzyjemności. Czy nie przypominasz sobie, że ojciec zastrzegł wyraźnie w swym testamencie, że gdyby nawet rzeczy stały tak jak stoją obecnie, on ma zostać twoim opiekunem.

Podniosła nagle głowę, i rzekła spoglądając na niego z przerażeniem:

— On! moim opiekunem!

— Niech cię to nie martwi Ido, odezwał się znów pan Marlowe, przypisując jej wzruszenie innym powodom. Nie ma wątpliwości, że mnie należało powierzyć te obowiązki, lecz twój biedny ojciec przez całe swoje życie nie pominął żadnej sposobności dozwalającej mu sprawić mi jakąś przykrość... Ale umarł już, i nie chcę nic mówić przeciwko niemu.

Prawdopodobnie miss Latimer nie słyszała co mówił, bo powtórzyła tylko zamyślona: „Moim opiekunem!" jakby starała się zrozumiéć dobrze znaczenie tych słów.

— Jednak wolno mu nie przyjąć tych obowiązków, rzekł pan Marlowe, zadziwiony tak głębokim zamyśleniem siostrzenicy, i wszystko każe wnosić że nie zechce przyjąć.

— Czy może? zapytała, a jednocześnie iskierka nadziei zabłysła w jej oczach.

— Tak, może; zależy to zupełnie od jego woli, a w ogóle wszyscy niechętnie podejmują się tych niewdzięcznych obowiązków, za które nie można się spodziewać nawet podziękowania, a które przynoszą wiele kłopotu i zabierają więcej czasu niżeli on miéć może przy swoich zajęciach.

— O! skoro to zależy od jego woli, rzekła, możemy być pewni, że odmówi. Nie potrzebujemy już się o to martwić.

— Kto wie? odezwał się Marlowe z powątpiewaniem. Z pewnością można prędzej polegać na twojem zdaniu, niżeli na mojem; ale mnie się zdaje, że Burnet należy do tych ludzi sumiennych, którzy nie wymawiają się od spełnienia obowiązku dla tego, że jest dla nich przykrym lub uciążliwym. Wszak mówiłem ci już o nim, że...

Zatrzymał się nagle zmieszany, ale pomimo to Ida wiedziała co chciał powiedziéć.

— To być nie może! zawołała, odzyskując swój dawny, stanowczy ton głosu. Nie znasz mój wuju wszystkich szczegółów dotyczących się tego; gdybyś je znał podzielałbyś z pewnością moje przekonanie. Nie ma co mówić o tem obecnie; przekonamy się wkrótce kto z nas miał słuszność... Zmieńmy najlepiej przedmiot rozmowy.

— I owszem! zawołał wesoło pan Marlowe. Teraz tego tylko pragnę abyśmy jak najprędzej załatwili te niemiłe interesa i powrócili do Marlowe i do naszego dawnego spokojnego życia. Ale przypominasz sobie zapewnie, Ido, że ci już wspomniałem iż w czasie twej nieobecności doszliśmy do pewnego rozprzężenia, obawiam się abyś za powrotem nie była zmuszona uznać, że twoja trzódka potrzebowała już bardzo twego dozoru.

— Doprawdy! rzekła marszcząc brwi i podnosząc głowę z wyrazem niezadowolnienia, ale pochyliła ją wkrótce i dodała smutnie: — Nie mogę już kierować innemi; nie czuję się do tego zdolną... Czy to być może, abyś, mój wuju, pokładał we mnie równe jak dawniej zaufanie?

Zaczęła mówić z żywością, a dokończyła z wyrazem najgłębszego zniechęcenia, i wsparłszy głowę na ramieniu wuja, zakryła ręką oczy i zaczęła płakać.

— Co ci się stało? zawołał przestraszony, gdyż nic podobnego nie zdarzyło się jeszcze odkąd znał Idę. Może jesteś chora? Mówiąc to zaczął upatrywać na stole jakiegoś lekarstwa, a nie znalazłszy nic dodał:—Zaniosę cię na kanapę i pobiegnę po coś trzeźwiącego.

— Nie, nie, drogi wuju! jestem zupełnie zdrowa, rzekła śpiesznie ocierając oczy, i zmuszając się do uśmiechu. Czy to być może abyś nie rozumiał?...

— A! jesteś zdrowa, tem lepiej. Ale jesteś dziś w takiem dziwnem usposobieniu, moje dziecię!... To zapewnie wpływa tak źle na ciebie szkaradne londyńskie powietrze, które przechodzi przez trzy miliony płuc, i wtenczas dopiero przyjdziesz zupełnie do siebie, gdy wrócisz w Marlowe do dawnego trybu życia.

— Do dawnego trybu życia! powtórzyła marsz-

cząc brwi. Mam więc przewodniczyć innym nie umiejąc dobrze pokierować sobą! Nie! niech mnie już nadal niebo uchroni od tego!

Uścisnęła z czułością rękę wuja i mówiła dalej z przejęciem:

— Słuchaj, drogi wuju, wiesz że dotąd zawsze szedłeś za moją radą, wiesz że obalając naturalny porządek rzeczy, narzucałam ci zawsze moje zdanie; otóż jeżeli jeszcze zdarzy mi się kiedykolwiek coś podobnego, proszę cię, przypomnij mi co mówię dziś, piątego lutego 187* roku. Czy nie zapomnisz?

Pan Marlowe patrzył na nią ciągle z niedowierzaniem i niespokojnością, a w końcu zawołał w miejsce odpowiedzi.

— Przyniosę ci, Ido, jakie uspakajające krople!

XII.

Pan Marlowe pośpieszył uwiadomić Saundersa o nowym stanie rzeczy. Wsiadając do powozu uśmiechnął się do Idy i przesłał jej pocałunek; pożegnała go także uśmiechem, ale zaledwie odjechał twarz jej przybrała wyraz poważny i smutny, zaczęła błąkać się po całym domu, omijając tylko swój salonik przypominający jej wczorajszą scenę, i którego całe urządzenie zdaje się jej gorzką wymówką za jej postępowanie, bo teraz już odgadła komu je zawdzięcza. Nakoniec znalazła się w bibliotece, weszła na schodki, zeszła z nich i zbliżyła się do okna, a za każdym krokiem dręczą ją bardziej prześladujące ją myśli; przypomina sobie z goryczą swój nierozsądek, brak miłości chrześciańskiej, swoją zarozumiałość i popełnioną omyłkę. Tymczasem drzwi się otworzyły i zamiast służącej, jak sądziła, wszedł doktor Burnet z zimnym i ceremonialnym ukłonem.

— Przykro mi, rzekł, że jestem zmuszony narzucać znów pani moją obecność, pragnąłbym oszczędzić pani tej przykrości, ale interesa zniewalają mnie prosić panią o chwilkę rozmowy.

— Proszę wejść, rzekła drżącym i stłumionym głosem; może... może pan usiądzie?

Trudno było zadość uczynić tej prośbie, ponieważ nie było krzeseł; stały jedne na drugich poprzewracane do góry nogami; ale przynajmniej chęci były dobre.

— Dziękuję, rzekł poważnie, pomimo, że lekki uśmiech przesunął się po jego ustach, gdy spojrzał na piramidy poustawiane z krzeseł. Zamknął drzwi i stanął wprost niej, aby mógł dostrzedz każdą zmianę na jej twarzy.

— Sądzę, że nie potrzebuję przypominać pani przedmiotu naszej wczorajszej rozmowy?

W miejsce odpowiedzi zadrżała silnie, i chciała zakryć twarz rękami, ale zdołała, choć z trudnością powstrzymać się od tego.

— Niech się pani nie lęka, odezwał się żywo, widząc ją tak zatrwożoną, i może powodowany litością. Nie mam zamiaru wracać się do tego przedmiotu więcej niż to będzie koniecznem, ale muszę przypomnieć pani raz jeszcze rozporządzenia zawarte w testamencie pana Latimer. Sądzę, że pani już wie iż mnie naznaczył opiekunem pani?

— A ma się rozumieć, pan nie chce się tego podjąć, zawołała; i przyszedł pan uwiadomić mnie o tem.

— Jak widzę, pani wie o tem więcej niżeli ja, rzekł marszcząc lekko brwi. Omyliła się pani, dodał patrząc jej w oczy; trudno zaprzeczyć, że przyjemniej byłoby odmówić, gdyż nasze stosunki nie były tak miłe abyśmy je chcieli przedłużać. Gdybyśmy mogli słuchać tylko naszych chęci; unikalibyśmy z pewnością na przyszłość wszelkiego z sobą spotkania; ale jak się pani już mogła przekonać, nie zawsze wolno nam czynić to cobyśmy chcieli.

Zamilkł oczekując na jej odpowiedź.

— Ma pan słuszność, odpowiedziała stłumionym i niepewnym głosem.

— Obietnica jest obietnicą, odezwał się znowu· Dawno już, zanim jeszcze poznałem panią, nabrałem przekonania z tego co mi mówił ojciec pani, że nie masz nikogo z krewnych któryby mógł zaopiekować się panią...

— Zawsze liczył za nic mego wuja Marlowe'a, szepnęła. Nie cierpiał go!

— ...I przyrzekłem mu, że w razie jego śmierci będę czuwać nad panią.

— Nade mną! rzekła z goryczą; nigdy nie troszczył się o mnie! Chciał tylko wuja odsunąć od opieki.

— Może być; ale jakkolwiek wykonałem to przyrzeczenie wskutek niedokładnej znajomości rzeczywistego stanu rzeczy, czuję się obowiązanym dotrzymać je sumiennie, i dla tego przyjmuję ten obowiązek z całą odpowiedzialnością jaką za sobą pociąga.

Zdawało się że każde jego słowo strącało ją coraz niżej.

— Czy to być może? wymówiła słabym głosem. Nigdy... nigdy.... nie przypuszczałam tego. Bardzo... panu dziękuję.

— Nie dziękuj mi pani; nie żądam tego; pozwól mi tylko dokończyć... Wskutek mylnego wyobrażenia o położeniu pani, to jest sądząc że pozostaniesz sama jedna na świecie, przyrzekłem jeszcze panu Latimer, że w razie jeźli umrze zanim pani będzie pełnoletnią, będzie pani mieszkać przy mnie, w moim domu przez cały czas swej małoletności.

Ognisty rumieniec pokrył nagle jej twarz i czoło.

— Mięszkać w domu pana? wybąkała. U pana?

Jakkolwiek ten okrzyk zadziwienia nie był dla niego zbyt pochlebnym, posiadał tyle szlachetności że nie chciał jej dać do zrozumienia iż dostrzegł jej pomieszanie.

— Muszę panią uwiadomić, dodał z żywością, że mam przy sobie siostrę już niemłodą i niezamężną. Jak tylko dowiedziałem się że pani ma krewnych, prosiłem usilnie pana Latimer aby mnie zwolnił z obietnicy, ale był do tego stopnia uprzedzonym przeciwko panu Marlowe, że nie chciał nawet słyszeć o tem.

— Żyć... w domu pana! rzekła blednąc, po tem co zaszło między nami! O! to straszne! to być nie może!

— Sądzę że to nie potrwa długo, odpowiedział rzucając na nią spojrzenie. Zapewnie pani skończy wkrótce dwudziesty pierwszy rok?

— Dopiero pierwszego sierpnia! Jeszcze sześć miesięsy!

— Sześć miesięcy! powtórzył z odcieniem niezadowolnienia. Sądziłem że mniej; ale i to przejdzie.

— Powtarzam panu raz jeszcze, że to niemożliwe.

— Najlepiej będzie nie mówić już wcale o przeszłości; rzekł wzruszając lekko ramionami! W przeciwnym razie byłoby to rzeczywiście niemożliwem.

— Więc pan utrzymuje że tak łatwo zapomnieć?

— Nie mówię bynajmniej o zapomnieniu, bo pojmuję że to nie zawsze w naszej mocy; ale sądzę że możemy unikać wszelkiej o tem wzmianki, przyjąć spokojnie to czego uniknąć nie możemy, i w ciągu naszego przymusowego zbliżenia, obchodzić się z sobą przyzwoicie i grzecznie. Zdaje mi się że to jest możliwem.

Patrzył na nią oczekując odpowiedzi, ale nie mogła przemówić; odezwał się więc po chwili:

— Za sześć miesięcy będziemy już zupełnie wolni, i wtenczas dowiemy się z doświadczenia, czy dalsze stosunki będą dla nas pożądane.

Zdawało jej się że gdy to mówił, w dźwięku jego głosu było coś takiego co kazało się domyślać, że on ze swej strony nie życzy sobie ich przedłużać.

— Sześć miesięcy!... dwadzieścia pięć tygodni... Sto siedmdziesiąt pięć dni!... mówiła jakby do siebie, co znów wywołało przelotny uśmiech na usta jej nieprzyjaciela.

— Powiedz pani sobie, rzekł tonem pocieszającym, że każdy dzień ma dosyć swej biedy, i że łatwiej znosić cierpienia jeżeli nie spadają na nas wszystkie razem.

Widząc że ten sposób zapatrywania się na rzeczy nie uspokaja Idy, odezwał się znowu:

— Sądzę, że nieprzyjemności których się pani obawia, nie będą znów tak wielkie jak pani sobie wystawia. Jeźli panią przeraża myśl że się zbyt często będziemy spotykać, to mogę panią uspokoić zupełnie.

Podniosła na niego z żywością oczy, i dwie łzy spłynęły na jej czarną suknię.

— Mam bardzo wiele zajęcia, mówił dalej, patrząc spokojnie na jej twarz zasmuconą, i nie mogę długo przesiadywać w domu. Wprawdzie wracam na obiad, ale bardzo często jestem proszony do kogoś ze znajomych, a wieczory przepędzam zwykle w moim gabinecie. Tym sposobem będziemy spotykać się z sobą wtenczas tylko gdy to będzie koniecznem. Mogę to przyrzec pani.

— Dziękuję, rzekła głosem złamanym, zupełnie odmiennym od tego jakim zwykła mówić w Marlowe.

— Będzie pani mogła wychodzić z domu ile razy jej się podoba, mówił dalej zawsze poważnym i spokojnym tonem, oraz bywać u kogo pani zechce i przyjmować kogo jej się podoba; słowem opieka moja nad panią będzie tylko pozorną. Zdaje mi się, dodał przesuwając ręką po czole, że to już wszystko co jak na teraz miałem powiedzieć. Nie będę nadużywał dłużej cierpliwości pani.

Zwrócił się ku drzwiom, ale zatrzymał się nagle jakby sobie co przypomniał, a potem znów zbliżył się do niej.

— Może wypadało mi dodać jeszcze, odezwał się z lekkim wzruszeniem, że byłbym bardzo szczęśliwym, gdyby pani w czasie mej bytności u mnie zechciała być grzeczną dla mej siostry.

Patrzyła na niego chwilkę blada i przerażona, a potem zawołała z uniesieniem:

— Jakto! więc pan sądzi... że jestem zawsze... że nie potrafię być?...

Zatrzymała się nagle; własne sumienie mówiło jej, że trudno byłoby panu Burnet domyślić się, że potrafię być miłą i uprzejmą.

(D. c. n.)



Pl. 476.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.